

JÓZEF DZIERZKOWSKI



# Król Dziadów

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA W 2 TOMACH.

TOM I

Z 6 ILUSTRACYAMI



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. □□□□ 1910

Udeś. się  
na niejca



206006

1-2

DRUK PIOTRA LASKAUERA.  
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

13-60/91



Na północnym brzegu, się od Stryja popod Karpaty, jest mnóstwo dolin, które przez kilka mil czasem ciągną się, jakby prawdziwe wyspy zielone, bo zawsze oblane rzekami, z gór płynącemi. Na jednej z takich dolin odbyły się główne ustępy powieści, którą czytelnikom moim chcę opowiedzieć. Dolina ta miała z pięć mil szerokości, w letniej mianowicie porze wyglądała jakby ogromny ogród, tyle tam było piękności, nagromadzonych szczerą przyrodzenia ręką. Kilkanaście wiosek, porzucanych na niej, z swemi drzewami i sadami wyglądały jakby olbrzymie klomby, godne takiego parku, w którego głębi piętrzyły się pomału pierwsze wzgórza, niby schody olbrzymie, ku wyżynom karpackim wiodące. W dzień pogodny góry te rysowały się na błękitie nieba fantastycznymi kształtami, w napół mglistej, a napół śnieżnymi wierzchołkami posrebrzonej szacie. Ku wieczorowi zmieniał się główny ten widok; promienie zachodzącego słońca nadawały mglistym szatom mnóstwo nowych, żywych, lśniących barw. A niżej ciągnęły się różnych kształtów i rozmaitej wielkości wzgórza, to w bratnie

grupy połączone, to rozrzucone, samotne, a wszystkie pokryte zielonością, przechodzącą przez wszystkie inne barwy, od jasnej zieleni gajów brzozowych, aż do ciemnej zieloności niebotycznych borów. Dla urozmaicenia tej panoramy obszernej, wystawały tu i owdzie z pomiędzy gór i borów nagie skały, jakby olbrzymie pomniki w olbrzymim parku postawione, jakby maszty ogromne z morza zieloności, wiatrem w górze wiejącym pofalowanego. Dolina zaś sama, rozścielona długo i szeroko, podobna była do ogromnego kobierca, zaslanego przed schodami, prowadzącymi do tej cudownej, z gór, skał i borów utworzonej świątyni przyrody; bo czyż góry nasze w całym swym majestatycznym składzie nie są rzeczywistą świątynią, ku której przez tyle wieków i tyle zdarzeń dziejowych, z całej szerokości ojczyzny naszej wznosiły się istne modlitwy słów i marzeń?

Środkiem doliny, o której mówię, biegła rzeczka, strumykiem wytryskująca z pod jednej z samotnych skał, która, zwiększona górskimi wodami i mnóstwem drobnych strumyczków, stawała się coraz większą, a nieraz na wiosnę po śnieżnej zimie lub w dżdżystą jesień stawała się rzeką prawie, przemieniając swój mrużący głosik na szumny huk pieniających się bałwanów. Rzeczka ta nadzwyczajnie krętym szła biegiem, tak, że niemal wszystkie z kilku wiosek na dolinie rozsypanych dotykała w swoim biegu, i gdzie tylko koło ludzkich przesiadła się siedzib, tam zaraz powstawał zielony jaki futorek, lub zahuczał młynek. Czasem nawet zabłądziła rzeczka aż do pańskiego ogrodu i w czystym swem zwierciadle odbijała białe dworów mury i kwieciste ogrodu klomby.

Ależ to razy, przejeżdżając przez taką dolinę wdzie-

kami przyrody, urokiem wiosny zaczarowana, oddycha się tem świeżem powietrzem, co tam prosto z gór przychodzi i schwytuje wszelką po drodze zdybaną woń łąk i zielonych łąnów kwitnących, by napelnić piersi nową siłą, nowem zdrowiem i tą rozkoszą sielską, która najprozaiczniejsze napelni serce nowem, szlachetniejszym uczuciem; ileż to razy, widząc i czując te cuda, pomyślałem w duszy: „To istny raj, dany nam z laski Opatrzności!” Tak myślałem, pókim nie spotkał ludzi, bo człowiek wszędzie i zawsze jednakowy, żądzami swemi i namiętnościami odczaruje każdy raj. Utrata pierwszego raju to męt! to przenośnia, powtarzająca się codzień, co chwila w życiu wszystkich ludzi, z których każdy, jak dobrze powiedział poeta, był raz w życiu w Arkadyi, w raju swych marzeń wiośnianych, swych uczuć młodzieńczych. I dlatego każdy z nas, choć w późniejszym wieku, nie może być obojętnym zupełnie na wdzięki poezyi. Poezya—to nuta straconego raju!

Na tej dolinie, w bliskości większych już pagórków, była wielka wieś, do której najprzód wstąpić nam wypada.

Wyżynice leżały na płaszczynie jeszcze, zdala tylko i niepostrzeżenie wznoszącej się. Jeden tylko pagórek, jakby wysłannik tych gór dalszych, wznosił się nagle i bez przygotowania, jakby kopiec ogromny na środku płaszczyny, na jaką wielką pamiątkę usypany. I był to rzeczywiście pamiątkowy pagórek, bo przed laty trzydziestu jeszcze widać było na nim ostatki gruzów, jakie pozostały po zamku Wyżyńskich, dziedziców Wyżyniec. Przed wiekiem i dawniej wznosił się na nim warowny zamek, który nad całą panował okolicą; rodzina Wyżyńskich była zamożna i szanowana powszechnie. Jak oko dosięgnąć mogło z baszty zamkowej, od Karpatów za-

czawszy, aż do tej ostatniej wstęgi srebrnej, co tam zdala z pomiędzy drzew, w mgle niknących, rzeczną połyskuje fala, wszystko należało do Wyżyńskich, którzy słynęli po całym kraju z ducha rycerskiego, z miłości do ojczyzny i enót obywatelskich. A gdy zabrzmiał wielki dzwon w kaplicy zamkowej, z dwunastu wsi okolicznych i miasteczka, na samym środku doliny położonego, sypały się roje pobożnych, by się pomodlić Bogu, a pokłonić zamkowemu panu, któremu wszyscy byli podlegli. W owym czasie, gdy się powieść nasza zaczyna, nie było ani śladu starego zamku, nie było ani śladu dawnej rodziny Wyżyńskich zamożności. Pozornie było to widocznym zyskiem dla krajobrazu, bo, zamiast gruzów i rumowisk, wznosił się na pagórku rodzaj pałacyka, u nas często widywany, ludzący oczy swą dla perspektywy tylko wyrachowaną powierzchownością. Zdala mianowicie pysznie wyglądał pałac wyżyniecki, na półtora piętra wysoki, z swoją przez całą szerokość przeciągniętą, słupiącą i monumentalną facyatą. Z pomiędzy ogromnych topoli, starych lip ogrodowych i odwiecznych wierzb, co z pagórka chyliły się tęsknie ku rzece, pagórek półlukiem otaczającej, wystawała ta kolumnada przepysznie, jakby marmurowy portyk jaki. I przejeżdżającemu mimowolnie żółta zazdrość na twarzy występowała na myśl, jak to musi być miło a przestronno, mieszkać w pałacu, odznaczającym się zarysem tak olbrzymim, kształtem tak nadobnym. Daremna była to, niestety, zazdrość, której, wszedłszy do środka pałacowego, każdyby się powstydział. Portyk ten cały był czysto złudzeniem optycznym, coś nakształt owych wsi, grodów i will, z teatralnych przyborów stawianych na jedną godzinę. Kolumnada facyaty frontowej była wystawiona z muru pruskiego i zakry-

wała swoim ogromem mizerny dosyć budynek, z dawnych oficyn przerobiony, który w takiej był proporcji do swojej facyaty, że pan Kilewicz, sąsiad najbliższy Wyżyniec, wielki facecyonat i zazdrośnik, zawsze sobie drwił w ten sposób:

— To szczęście, że główne drzwi wchodowe zawsze zamknięte, bo inaczej dworek pana Wyżyńskiego uciekłby przez nie.

— Wymknie się on i tak podobno! — dodawała pani Kilewiczowa, której tusza ogromna godniejszą była od dworku wyżynieckiego takiej facyaty — a przynajmniej wyniosą go dłużnicy.

— Wątpię, by tam już warto było co wynosić! — mówił suchy Kilewicz — co było lepszego, to już dawno wyniósł sam Wyżyński.

— Graf Wyżyński! — poprawiła małżonka.

— O wa! w jego grafostwie tyle prawdy, co w facyacie.

Z tej krótkiej rozmowy więcej skorzystaliśmy, niż z pół tomu opisu, bo już to niema jak sąsiedzi, by opowiedzieć, jak kochany sąsiad siedzi. Graf Ignacy Wyżyński nic już więcej nie posiadał, tylko jedne Wyżyniece, nie jednymi wszakże i to mnogimi obciążone długami. Ostatnim jeszcze wybrukiem grafowskiej pańskości, ostatniem wydmuchnięciem pańskiej fantazyi, była ta facyata pałacowa, którą zamaskował starą oficynę; później miał na miejscu lichego dworku stanąć pałac, godny facyaty, lecz okoliczności już na to nie pozwoliły, i pan Ignacy musiał się cieszyć facyatą tak pyszną, że, jak sam mówił z uroczystą miną, podobnie pięknej niema drugiej w kraju, nie wyłączając nawet Zofiówki i Aleksandryi. W takich razach trzymając się aksjomatu, że

„pars pro toto“ stać może, mówił zawsze nie o swojej facyacie, ale o swoim pałacu:

— Ja sam ułożyłem plan mego pałacu, w którym umieściłem wszystkie piękności architektoniczne, za granicą widziane.

Lecz przejdźmy już raz facyatę i wejdźmy do wnętrza domu. I tam wszędzie przebija się większa pretensya, niżeli możność, bo choć domek składa się z samych kłateczek, wyglądających dla braku naprawy dosyć brudno, porozrzucane są po nich sprzęty, ogromem swoim i bezładnem obozowaniem kłócające się z niemi niepospolicie. Mimo ciasnych izdebek było wiele ścian próżnych, które sztukowano różnemi tańszemi dokupami mebli, fatalnie odbijających od owych zabytków lepszego bytu. Ta różnorodność i różnicowość dworu wyżynieckiego odzywała się wszędzie; wewnątrz domu wyglądało prawdziwie, jak pobożowisko walki, stoczzonej między dumą, co chce, a rzeczywistością, co nie może. Smutna to zaiste walka, a wcale nie rzadka u nas, bo my w dobrem czy złem mamy ten upór zawzięty, który, mimo wyraźnego niepodobieństwa, ustąpić nie chce. Z jednego też źródła tego pochodzi wiele naszych i cnót i wad. Dumni rodem aż do śmieszności, kochamy nasz kraj aż do męczeństwa.

To tylko nieszczęście, że w podobnych walkach, jakich placem był widocznie dwór wyżyniecki, upór zachowania się przy pańskości, który częstokroć z komiczności najwyższej przechodzi do najokropniejszej tragiczności. Żądza błyszczenia jest namiętnością i, jak każda namiętność, nie ma granicy, nie ma hamulca, leci jak szalona w przepaść; a że zwykle dwie się przed się otwierają przepaści — fizyczna i moralna, by uniknąć fizycznej, leci się w moralną. Tak w namiętności do gry, by uniknąć nędzy,

ze zgrania wypłynąć mogącej, zostaje się szulerem. Ileż to ludzi z zacnemi antecedencyami nawet, by się utrzymać przy pozycyi, odpowiedniej swoim urojeniom, by, broń Boże, nie usunąć się z placu siebie godnych wyższości społecznych, rzuca się w błoto i traci niepodległość i spokój sumienia. By ten szychowy połysk jak najdłużej utrzymać, ileż to razy za każdym dukatem brnąć trzeba nie tylko przez błoto, ale przez lzy i przez krew nawet!...

Wszedłszy raz do dworu wyżynieckiego, trzebaż nam odszukać mieszkańców jego, a przedewszystkiem zaznajomić się z samym panem domu. Minawszy kilka ciasnych i niskich pokoi, przechodzimy do ostatniego skrzydła domu, do którego wstępuje się po kilku schodkach, w górę prowadzących, i wchodzi się do porządniejszego apartamentu, z trzech pokoi złożonego. Jest to salon, kancelarya pana Ignacego i rodzaj pokojowej oranżeryi. Wszystkie te trzy pomieszkania są znacznie wyższe i obszerniejsze; był to ostatek dawnej baszty, w której wyższe odsypawszy gruzy i przykrywszy z włoska płaskim dachem, wyrobiono wcale ładny salon bawialny i obszerną kancelaryę grańowską, z dodatkiem treibhauzika, połączonego z salonem szklanemi drzwiami. Salon ten i ciepłarnia, to była jeszcze jedna i ostatnia pociecha pana Wyżyńskiego, zmęczonego złem powodzeniem; i dlatego dzień prawie cały siedział w tej kancelaryi swojej, by przez szklane drzwi, jakie w nich dać kazal, patrzeć na ten ostatni i wytworny wybryk pańskiej fantazyi. A gdy był w salonie, najwymowniej rozpowiadał o książęcych rezydencyach, w których gust prawdziwie pański i szlachetny połączył bawialnię z ciepłarnią.

I w tem odzywał się grzech pierworodny pana Igna-

cego, duma i niemożność; bo, pominąwszy pstrokate umebrowanie salonu, najsmutniej wyglądała cieplarnia, w której pomalu powymierały na suchoty wszystkie rzadkie i arystokratyczniejsze krzewy, a weszły natomiast rozmaite trawki, zbierana drużyna z łąk i gajów, zamaskowana tu i owdzie welnianymi kwiatami w papendeklowych wazonikach.

Pan Ignacy graf Wyżyński siedzi w swojej kancelaryi, która nie dlatego jest kancelaryą, aby w niej pisał pan graf, bo nie miał co pisać, lub też chował w niej szkatułkę jakąś lub żelazną kasę z pieniędzmi, ale dlatego, że wszystkie wyższości europejskie, zaczawszy od ministrów i lordów, mają swoje kancelarye, i że nareszcie na samym środku stało ogromne biurko, które gustem swoim rokoko przypominało lepsze czasy, chociaż niemiłosierny czas swoim nieludzkim zębem pozdrapywał mnóstwo ozdóbek, w smaku staroświeckim wykonanych. Mimo to z przyjemnością pewną trzeba się było nań patrzeć, jak na ruinę dawnego zamku, z której zdaje się przemawiać duch przeszłości, wznoszący mianowicie u nas każde serce.

Biurko to w rzeczy samej było ostatnią pozostałością po antenatach Wyżyńskich, zapisaną i opisaną w starych nawet testamentach, przekazujących to swoich czasów arcydzielo z syna na wnuka. Graf Ignacy, siedząc za tem biurkiem, wyglądał prawie jak Maryusz na ruinach Kartaginy.

O powierzchowności pana Ignacego nie wiele da się powiedzieć. Był to mężczyzna już niemłody, bo liczył już przeszło 50 lat, niewielkiego wzrostu, a nawet niepokazny w całym układzie; to też sztukował się, ile mógł, brzuszkiem, zanadto może występującym, i ustami dumnie

naprzód wydetemi. Twarz była okrągła, bo i lica i oczy wybiegające na wierzch, i nos gulowaty na końcu, i broda również jak kula okrągła. Wyrazu na tej twarzy nie było żadnego i nigdy być nie musiało, prócz ust wydetych i uśmiechu uroczyście dowcipnego, który sobie przyswoił przez używanie. Bo uśmiech ten uważał za dyplomatyczny, a trzeba wiedzieć, że dla grafa Ignacego dyplomacya była najwyższem znamieniem rozumu ludzkiego. On nawet za młodu liźnął coś dyplomacyi, stając za piątą koło przy jakiejś malej ambasadzie; odtąd miał sobie za obowiązek stawać na dyplomatycznym stanowisku, które dla rozmawiających z nim stawało się nieznośne. Bo, wyrecytowawszy kilka starych kalendarzowych anegdotek, zamykał się w milczenie dyplomatyczne z owym stereotypowym uśmiechem. Do tego dodać należy, że miał twarz codziennie ogoloną, bez włoska wąsa lub brody, na głowie z czołem przez łysinę zwiększonem miał rudawą peruczkę, i ubierał się wiecznie w czarny frak, białą halsztuk i zapinaną aż do szyi kamizelkę, odznaczającą się krojem parlamentarnym.

W chwili, gdy do niego przychodzimy, choć jest sam jeden w pokoju, stara się przecież zachować tę sztywną i wiele znaczącą powagę dyplomaty, co mu się tym razem nie zupełnie udaje. Miota nim jakiś niepokój, objawiający się częstem zrywaniem z fotelu, na którym siedzi rozparty. I teraz, lepiej wpatrzywszy się w tę twarz, wyrazem niecierpliwości pokureczoną, widać wyraźnie jakieś wewnętrzne cierpienie, mające już długą przeszłość, wypisaną mnogimi zmarszczkami koło zmęczonych oczu.

Nie mógł nareszcie wytrzymać dłużej i zaczął szybkim krokiem biegać po kancelaryi. Niepokój dręczący do tego stopnia nim oświadczył, że zapomniał w tej chwili o

wszelkiem decorum dyplomatycznym i, jak prosty, zdeperowany śmiertelnik, uczucia swoje rozmaitymi objawiał ruchami; w zupełnem zapomnieniu porwał się nawet kilkakroć za głowę i przekreślił perukę rudawą na bakier nieco, co nadawało pocieszny nader wyraz jego całej okragłej i wymuskanej fizyognomii. Od czasu do czasu stawał przy biurku i spozierał na rozłożony na niem papier, zapisany cyframi. A wzrok, jaki rzucał na cyfry, był tak srogi i zapalczywy, iż go ledwie nie spalił wściekłym zarem, jaki zeń buchał. Ależ bo te cyfry przekłete z tą swoją nieruchomością, drwiącą zdaje się z żywych spojrzeń człowieka, jak przeznaczenie niezmiennie i nielitościwe, to prawdziwe „Mane-tekell“, stojące śmiertelnym nagłem straszylem w drodze żywota.

Z tego wszystkiego łatwo zrozumieć, że pan graf był w ambarasach pieniężnych. Po jakiej drodze do nich przyszedł, by to wytłómaczyć, kilka słów na to wystarczy. Jest to wiecznie jedna droga, dobrze nam w kraju znana, mianowicie na początku dziewiętnastego stulecia ubito doskonale tę drogę mnogimi gonitwami. Jest to droga rozrzutności i nieogłędnej niedbałości. Już ojciec pana Ignacego mocno nadwreżył znaczną fortunę, spadła po zamożnych dziadach, którzy, w Rzeczypospolitej znaczne piastując urzędy, znacznymi także obdarzani bywali królewsczyznami, a przez związki z pierwszymi w kraju domami do coraz większych przychodzili dostatków.

Ojciec pana Ignacego był to człowiek wylany całem sercem dla ojczyzny, której upadku wypadło mu być świadkiem. By powstrzymać ten upadek, nie szczędził wymowy na sejmach, krwi na polach nieszczęśliwej wojny domowej, ani też mienia własnego, które hojną sypał ręką na usługi krajowe. Po śmierci ojca został pan Igna-

cy małym jeszcze chłopięciem pod opieką matki, damy wielkiego rodu, która przeniosła się do Wiednia z drogin synkiem, w myśli, by mu nadzwyczaj świetne dać wychowanie. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że nie szczędziła wydatków na jego wychowanie; młody Ignas miał w domu całą akademię uczonych ze wszystkich krajów, którzy, rozmaitymi mówiąc językami, istną z głowy chłopca zrobili wieżę Babel. Była-li to zresztą wina nauczycieli czy ucznia, trudno odgadnąć; są zaiste role niewdzięczne, na których najlepsze nasienie kakaolem zejdzie.

Pobył w Wiedniu, pańskie w nim życie, książęce wychowanie, nadwreżyły niepomalu majątek Wyżyńskich; ale, co gorzej, wyrobiły w młodym grafie (bo się matka postarała o grafostwo) mnogie paniczowskie fantazy, między któremi najulubieńszą było wyrzucanie pieniędzy prawdziwie za okno, na wszystkie zachcenia najkapryśniejszej rozpusty. By przecie zająć jakieś stanowisko rodu i majątku godne, i światu okazać wysokie zdolności swoje, wybrał sobie zawód dyplomatyczny, przekonany będąc, że wkrótce najpierwsi ministrowie europejscy do niego chodząc będą po naukę, po nowe pomysły, które mu bujały w dumnej i zarozumiałej głowie. Nie długo było tej dyplomacyi.

Przez lat kilka wisiał przyczepiony do małej jakiejś ambasady, jako nadliczbowy attaché d'ambassade, poczem nagle zjawił się w ojczyźnie, którą ledwie znał. Matka już nie żyła, kilka wiosek było sprzedanych, a choć zostało jeszcze kilkanaście, było na nich mnóstwo długów, nieład ogromny, i na domiar nieszczęścia pojawił się rodzony brat starszy, o którym dawno już zapomniął pan Ignacy. Stanisław Wyżyński był o lat kilkanaście starszy od pana Ignacego i po śmierci ojca dzieciuchem

prawie jeszcze poszedł do legionów i razem z tylu innymi ziomkami swymi przeżył to wielkie epos, którego wstępem była rewolucya francuska, a treścią Napoleon. Skapo odbierał on zasiłki z kraju, ale to było mu obojętne: on miał w sercu niewyczerpany skarb nadziei, żądze sławy i chęci poświęcenia się. Pan Ignacy swym dyplomatycznym rozumem wyrachował, że przy tylu walnych bitwach i niemniej krwawych potyczkach p. Stanisław albo już zginął, albo zginąć jeszcze musi. Niepospolicie się zdziwił, a nawet oburzył, gdy w lat trzy czy cztery nieproszony, niedziękowany, pojawił się brat Stanisław, jako wracający z niewoli ex-major.

Lecz o panu Stanisławie później. Pan Ignacy, wróciwszy do kraju, wziął się do uporządkowania interesów swoich i tak kapitalnie porządkował, że rok rocznie odpadała wioska od klucza wyżynieckiego, a natomiast do tabuli krajowej przybywała nowa pozycya; ale prawda, że żył całą gębą po pańsku. Fantazje jego, któremi ziomków zadziwiał i naszym obyczajem do małpowania skłaniał, stały się sławnymi, a pan Ignacy był wyrocznią wszystkich półgłówków, którym niestworzone puszczał baki o swej karyerze dyplomatycznej, dlatego tylko porzuconej, że zazdrość peruk starych nie dopuściła genialnych pomysłów jego, mogących przecież w onem Europy krytycznem położeniu dać ratunek, a nawet nowy zupełnie kierunek nie tylko Europie, ale nawet całemu światu, który wówczas był znany, ze wszystkimi wyspami i oceanowym obszarem. Już to u nas, jeżeli nawet zabraknie Innego geniuszu, potrafimy przynajmniej genialnem wyrabiać się kłamaniem.

Tak siejąc i wyrzucając za okno i pieniądze i zdro-

wie, nie długo mógł się utrzymać p. Ignacy na szczycie swych salonowych powodzeń, które go nareszcie znużyły, wyssawszy z niego i moralną i fizyczną i wszelką szlachetność, jeżeli się tam w nim kryło co jeszcze z pocziwej dziadów krwi. Trzeba się było ratować koniecznie, a więc się ożenił dosyć majętnie i, znudzony miastem, zaczął żyć na wsi, życiem magnatów angielskich. Wówczas postanowił wybudować pałac i zaczął od portyku. Ale już interesy szły coraz gorzej; posag żony wpadł bez znaku w przepaść długów i lichwy, z której niepodobieństwem było dla p. Ignacego wydrapać się. I tak z dnia na dzień żył, tylko goniąc za nowymi konceptami, którymi dałoby się wykręcić nieco grosza na życie, jeżeli nie tak już pańskie, jak dawniej, to przynajmniej wystawne na oko.

— Bo Wyżyński jest Wyżyńskim, pan panem i basta! — mówił graf Ignacy z pogardliwym wyděciem ust, któremi dmuchał na resztę poziomego świata.

Rozpatrzywszy się w jego położeniu, wracajmy teraz do niego.

Może już raz dziesiąty biegał po kancelaryi, gdy otworzyły się małe drzwiczki, w kącie ukryte, któremi przez małe sionki wychodzić można było do głównej sieni, aby nie iść przez salon bawialny. I przez te drzwi pojawiła się najprzód ręka z jarmużką, potem broda szpakowata, a nareszcie cały Żydek w stroju starozakonnym, mały, żywy, z oczyma biegającymi wokoło, jakby dwa szatany, uwijające się po świecie za różnemi zradami.

Graph, spostrzegłszy go, skoczył ku niemu skokiem tak zajadłym, że zdało się prawdziwie, że go rozedrze. I jakżeby chętnie rozdarł, gdyby nie nadzieja, że przecież da się co wydusić jeszcze z Srula Feigele, który był



jedną z najznakomitszych figur w okolicy. O małe dwie milki od Wyżniece było miasteczko Niżyńce, znaczne dosyć i handlowe, dawniej należące do majątku Wyżyńskich, których dwa klucze, wyżyniecki i niżyniecki, były najpiękniejszymi niemal w całym kraju majątkowemi perłami. W tem tedy miasteczku, którego wieże widać było z okien facyaty wyżynieckiej, głównym handlarzem wołów, kupcem zboża i wódki, rządowym liwerantem i bankierem był wspomniany już Srul Feigele. Całą on okolicą trząsł nielitościwie i był poniekąd jej władcą, mając pod sobą do wykonania swych zamysłów mnóstwo podrzędnych Żydków, którzy, arendarzując po okolicznych wsiach, byli jego faktorami i policją razem, i mając ku pomocy dwie ogromne władze: złoto i lichwę, złotem przyciągał, lichwą obdzierał. Jego ogromny pugilares, bez którego nigdy się nie ruszył z domu, był prawdziwym potworem, połykającym okoliczną szlachtę, której całą nomenklaturę znaleźć w nim można było na mnogich wekslach.

— A przecież! — zawołał graf Ignacy i stanął w skoku, jak wryty, przed zimnym i szyderezym uśmiechem pana Srula.

— Nie miałem czasu! — odrzekł niedbale Srul. — Zatrzymał mnie pan prezes.

— Co, ten ex-burmistrz Wicewicz?

— Który jasnego pana nazywa ex-panem.

— Błazen!

— Ale ma grube pieniądze i pożyczka...

— Pożycza! — zawołał graf zmienionym głosem i zaiskrzyły mu się oczy.

— Ale tylko na bardzo pewne hipoteki...

— Może mówileś?...

— Mówilem z nim!

— I jakże?

— Nie!... nie będzie nic z tego...

— Nie będzie! — żalonym zajęczał głosem pan Ignacy.

— Mówilem już, że wun bezpiecznej szuka hipoteki.

— Alboż ja nie mam hipoteki?

— Hipoteki i... — powtórzył Żydek z uśmiechem, którego wyrazu słowem niepodobna oddać. Było w nim szyderstwo szatana, gdy już pochłonie swą ofiarę i drwi z jej ostatniej, kurczowej walki.

— Przecież ja mam!

— Nu, co jasny pan ma, to ja wiem najlepiej. Z pożyczki nie być nie może.

— U Wicewicza zapewne, bo to nieużyty skapiec; słyszałem nawet, że podobno zakopuje pieniądze.

— Zakopuje! — powtórzył Żydek potwierdzającym głosem i cmoknął ustami, jakby coś nader smacznego skosztował. — To wielki człowiek! — dodał.

— I gdzie też?... — zapytał graf.

— Ba, gdzie?... — odpowiedział Żyd.

I obaj przez chwilę spojrzeli na siebie i spuścili oczy w dół, a nastąpiło krótkie milczenie.

— Lecz miałeś mówić, panie Srulu, z innymi...

— Z innymi! aj waj! a gdzież te inne?

— Przecież...

— Oni tu u mnie wszyscy! — odrzekł Żyd, uderzając się w piersi, z których sterczała przez żupan ogromna pugilaresu peryferya.

— Ale sam może...

— Ja! ja!... pan graf żartuje. Ja pana żałuję, ja na grafie nie jedno zarobił, jabym chętnie grafowi pomagał,

ale Srul, póki żyje, nie pożyczysz więcej grafowi, bo Srul, choć jest Żyd, jak goje mówią, Srul ma rozum i tu i tu — dodał, wskazując na głowę i na brzuch, grubym trzosem obwiązany. — Ja jeszcze mam u grafa sześć tysięcy z ostatniego kontraktu na wódkę.

— Właśnie dlatego; znajdź kogo, by mi pożyczył dziesięć tysięcy, a odbierzesz swoje.

— Ja grafowi odstąpię te pięć tysięcy za dwa tysiąców, ale proszę o pieniądze zaraz. Żeby ja nawet pożyczył gdzie, to jużby Srul grafowi odstąpił z jednego tysiąca na swojego weksla.

— Więc wszędzie próbowałeś?

— Jadąc z Niżyniec, byłem nawet w Lypkowcach.

— U Glinieckiego?

— To także fein puryc! wielkiego ma gluf.

— I robiłeś mu propozycję?

— Na wszystkiego boków.

— I cóż?

— Odmówił!

— Odmówił!... Gliniecki! — zawołał graf z nieudaniem przerażeniem. — Wszakże on zawsze taki dla mnie grzeczny, pełen oświadczeń, uniżonych ukłonów.

— To jeszcze z dawnej ekonomicznej natury pochodzi. Ale pieniędzy wun grafowi nie pożyczysz. Wunby prędzej dał córkę młodemu grafowi.

— Wierzę! wierzę! — mruknął graf i wpatrzył się w Żyda. — A wiele teżby dał posagu?

— Za życia nic!... po śmierci...

— Pal dyabli!... po śmierci; on młodszy ode mnie!... a przecież! przecież!... Jaki on może mieć majątek?

— Jak ja miarkuje... będzie miał 200.000 srebrem.

— I ma dwie tylko córki... ale obie młode jeszcze, i mój Eugeniusz smarkacz jeszcze.

— Aj waj! piękny mi smarkacz! pod wąsem!... pod wąsem...

— Pomyślę ja o tem... ale tu dziś ratować się musisz. Słuchaj, panie Srulu!... znasz położenie moje.

— Oj, znam, i dobrze znam — wyrzekł Srul z niewymownie pogardliwym wyrazem.

— Ja nie mam grosza w domu... a przecież nie mogę tak żyć, jak ten kutwa Gliniecki, albo ten obrzydliwy Wicewicz.

— A dlaczego nie?

— Bo ja Wyżyński!

— Ja Srul Feigele, a żyję przecie skromnie.

— Ty tego, mój Srulu, nie rozumiesz! — przerwał graf, tłumiąc niecierpliwość.

— Ja to dobrze rozumiem... Co to już dziś wszystko pomoże. Świat się zmienił, czas dla Wyżyńskich już przeszedł, teraz się zaczął dla Feigelesów... A przepraszam, graf się gniewa, niecierpliwi, i ja nie mam czasu; ja muszę jechać aż za Dniestr, gdzie mam kupić kilkaset korcy zboża.

— A żebym ja co sprzedał...

— Co? — zapytał Żyd z komicznym zadziwieniem.

— Możliwy kontrakt zrobić na zboże, na wódkę.

— Na tę, co będzie za dwa leciech.

— Gdybyś przecie chciał pomódz, kochany panie Srulu...

— Nu, ja jegomości szczerze powiem, z tego nic nie będzie... niema kupców.

— Jakto? niema kupców u nas?

— Niema! bo któż tu kupi bez Srula Feigele?

— A więc żadnego niema ratunku? — zawołał graf, zaciskając usta i pięści.

W tej chwili spokojna i dyplomatyczna twarz grafa przybrała wyraz tak złowrogi, jakby myśl zbrodni łysnęła z oczu i usta srogim pokurczyła uśmiechem. Ależ bo bankrutujący to jest okropne stworzenie w swej chęci ratowania się. Każda w nim żyła drży żądzą złota. I nie może pogodzić się z tą myślą, że on, co wczoraj jeszcze zbyt kowne pędził życie, dziś, jutro zginąć w nędzy może. Bo, że tam jakies z głodu giną biedne charłaki, nie nad to naturalniejszego; ale on, pan z panów, on, co niedawno jeszcze po pierwszych stolicach europejskich za pan brat obcował z pierwszymi wielkościami stołecznymi, on miałby cierpieć nędzę? Nie! to niepodobna, to sen tylko!... Aby wrócić do dawnego stanu, tak miłego, do tych miękkich i rozkosznych uczuć, do których się przecie przyzwyczało i urodziło, czegoż potrzeba?... Złota! nie, tylko złota! a przecież tego złota jest tyle na świecie! I tylu głupców posiada go, co nie umieją użyć, którzyby powinni mieć sobie za szczęście, że pomogą jemu do odzyskania dawnego stanowiska. A więc trzeba mieć to złoto!... trzeba je mieć koniecznie.

— Ny!... czego graf się tak rzuca, tak srogo patrzy na mnie? Ja grafa żałuję bardzo — przerwał Sruł.

— Więc niema ratunku? — powtórzył graf.

— Ja tego nie mówię.

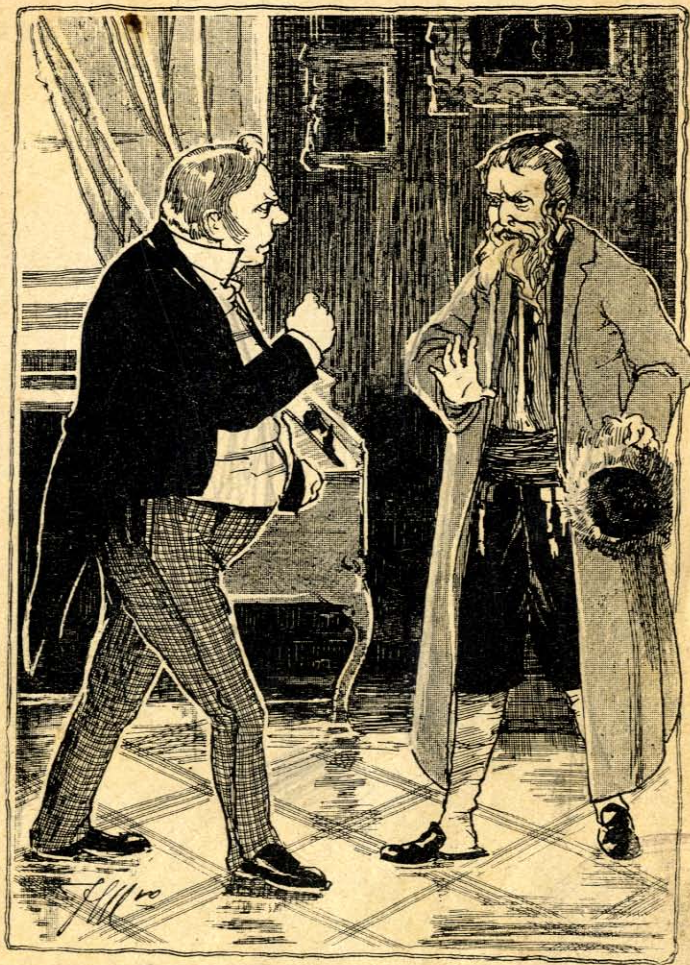
— Jakto!... masz jaki ratunek?... Poczciwy, kochany Srułu!

— Jeszcze jedną mam myśl!

— O, ty złota głowo!

— Jednego znam jeszcze, co ma pieniądze...

— I pożycz mi?



— Co to grafa obchodzi tak bardzo król dziadów?



— Pożyczysz niezawodnie!

— Gdzież jest ten zacny, nieoszacowany człowiek?

— Wun ma grube pieniądze, choć nikomu nie mówi; ale Srul wie wszystko. On ma i stare złoto, i stare srebro, bo w papiery nie wierzy. U niego by graf może i dwadzieścia i trzydzieści tysięcy i więcej dostał.

— I gdzież on jest?

— Ale do niego trzeba pojechać samemu i trzeba się przypocholebić, bo to prosty człowiek.

— Ale pojedę, pojedę, choćby najdalej; mów już tylko raz, gdzie mieszka, jak się nazywa?

— Zna jasny graf Hoszów?

— Co?... Ho... szów! — wyjąknął graf i cofnął się parę kroków, a czerwoność na twarzy, chwilową nadzieją wywołana, zaczęła ustępować.

— Otóż tam mieszka ten, co go tu w okolicy nazywają królem dziadów.

— Kto? — krzyknął nagle graf głosem zmienionym i pobladł okropnie.

— Co grafowi takiego? — zawołał Żyd, przerażony naprawdę, i żywe swe oczy wlepił w niego z świdrującą ciekawością.

— I ty śmiesz mi taką propozycję robić? — krzyczał dalej graf w uniesieniu niezwykłym, zapomniawszy w tej chwili o wszystkim.

Żyd, widząc takie wzruszenie na twarzy grafa, cofnął się ku drzwiom, bardzo przestraszony, bo jeszcze nie widział go w takim uniesieniu. Lecz w tej chwili nie zapomniał swej żydowskiej podejrzliwej natury.

— Graf go zna? — zapytał, patrząc mu w oczy coraz ciekawiej.

— Ja, jego? — mówił pan Ignacy coraz namiętniej

i głośniej, i przyskoczył do Żyda z iskrzącymi oczyma.— Ty śmiesz mnie pytać o to... Ty?...

Żyd już był przy klamce, bo mimo całej odwagi, jaką posiadał wobec tych, których miał w swoim pugilaresie, niezwykle wyraz twarzy grafa wzbudzał w nim przestraszony mimowolny. Mimo to przecie odpowiedział na spojrzenie spojrzeniem, choć nie tyle śmiałem, ale pełnym pogardy, jaka się rodzi w drszym bogatego lichwiarza dla podupa-  
dłego pana. Żyd ' kim pogardza, jak głupcem, jak skórka wyciśniętej cytryny.

— Nu, i cóż? aj waj! — przemówił. — Co to grafa obchodzi tak bardzo król dziadów?

— Mnie!... — krzyknął pan Ignacy i podniósł rękę ruchem namiętnym.

I kto wie, coby się stało. Lecz w tej chwili otwarły się drzwi salonu. Obaj mówiący spojrzeli ku nim i zobaczyli wchodzącego wysokiego mężczyznę.

— Pan major! — przemówił Żyd i skrzywił się niepospolicie, bo jednego majora bał się i szanował nadzwyczajnie.

— Mój brat! — mruknął do siebie p. Ignacy i gwałtownym wysiłkiem stał się panem namiętnego wybuchu. — Nic to, nic!... mój panie Srule!... ja nie jestem zdrów zupełnie. Ta propozycja oburzyła mnie nieco; gdzieżbym ja mógł wchodzić w stosunki z...

— Ta że to przecie król!—odrzekł szyderczo Żydek. — I nielada król, bo ma znaczne pieniądze.

— Bądź teraz zdrów, panie Feigele...

— Żegnam pana grafa... I ten król mógłby najlepiej odkryć, gdzie Wicewicz zakopał pieniądze—dodał z przy-  
ciemnym złośliwie szyderczym.

Żydek wyszedł, a pan Ignacy, drżący jeszcze, poszedł

ku drzwiom szklanym, by powitać czekającego w salonie brata.

— Coś w tem jest! coś w tem jest! — myślał wychodzący lichwiarz.

Pan Ignacy wszedł do salonu, starając się przybrać znowu swoją zwykłą, zimną postawę.

II.

**Narada rodzinna.**

Major czekał na brata na środku salonu.

Był on starszy od p. Ignacego o lat blisko dwadzieścia, ale z pewnych względów młodziej od niego wyglądał. Wysoki, silnej, jędrnej i żyłastej budowy, trzymał się prosto, mimo swych lat siedmdziesięciu, a w ruchach swoich i całej postawie, pełnej jeszcze życia, zachował coś żołnierskiego, co go młodszym robiło. Siwy, jak gołąb, włosy miał nadzwyczaj gęste i wąs suty, z polska noszony; ale pod tą siwizną było czoło i twarz dziwnej jeszcze młodości, bo na czole spoczywała jeszcze widocznie myśl dzielna, a z twarzy, która musiała być dawniej bardzo piękna, wyglądało czerstwe zdrowie i wyraz życia, dobywający się z głębi duszy. W oczach łyskał szczególny jeszcze zapal; wskazujący, że nie wygasł w nim dotąd wewnętrzny ogień męski. Zapal ten miękczył wszakże wyraz szczególnej dobroci, która przebijiała się przez wyraziste spojrzenia błękitnego oka. Cała twarz majora pociągała sympatycznie ku sobie zbiorem, że tak powiem, wyrazów najszlachetniejszych: prawej myśli,

dzielnej duszy i poczciwego serca; na pierwszy pozór surowa, wzbudzała w każdym mile jakieś uczucie, które Ignęło ku niej. Mimowolnie, kto tylko zbliżył się do majora, musiał go kochać i szanować, chociaż i bojaźń wzbudzić potrafił, gdy mu z jakiej ważnej przyczyny wewnętrzne oburzenie wybiegło w oczy, na czoło i twarz. A w takich chwilach nie bardzo bezpiecznie było się zbliżać do majora, bo wówczas przypominał sobie czasy wojskowe, i występował ostro i groźnie, a rznął prawdę od ucha, bez najmniejszej ogródki. Jednym słowem, śliczny to był starzec, jakby one góry nasze jędrne, pełne życia, co źródłami z nich wypływa, stoma zielonych konarów ku niebu się wznosi, choć śnieg mroźny, wspaniale pokrywa wierzchołki. Pan Stanisław Wyżyński był prawdziwym typem dzielnego wojownika polskiego, jakiego już dziś rzadko gdzie spotkać, był on prawdziwym szlachcicem polskim, w całym szlachetnym tego słowa znaczeniu; szlachcic, bo szlachetny, bo nieprzyjaciel wszelkiej podłości, pomny na przeszłość rodu i kraju, spowinowacony krwią za ten kraj przelaną, gotów do wszelkich poświęceń.

Lecz przejdźmy do salonu Wyżyńskiego, a może go bliżej poznamy.

— Dzień dobry ci, panie Ignacy! — przemówił stary major głosem pełnym jeszcze i dźwięcznym.

— Dzień dobry kochanemu majorowi! — odrzekł pan Ignacy z przymuszonym uśmiechem, i zbliżał się do niego zgięty do ukłonu, jakby nie śmiał bratu zajrzeć w oczy. Ze wszystkich może, co jakkolwiek z majorem mieli styczność, jeden jego brat rodzony więcej się go bał, niż kochał. Jak wszyscy ludzie nietęgich głów i nietęgich serc, ugiął się przed lepszą głową i lepszym sercem.

— Że też, panie Ignacy, nie możesz się obejść bez tego szachraja Żyda.

— A że też pan brat taką ma do Srula antypatyę — odrzekł znowu pan Ignacy, próbując nowego uśmiechu, który, mimo wszelkich wysiłków, nie udawał mu się jakoś.

— Tam do kroćset!... Mamże lubić tego łotra, który cię obdziera?

— Trudno bardzo, by mógł mnie obedrzyć.

— Chyba dlatego, że już cię do naga obdarł. Ależ poco jeszcze się tu kręci?

— Nie żyłeś, panie bracie, naszym życiem obywatelskim, w którym bez Żydów niepodobna się obejść.

— A to mi piękne obywatelskie życie. Dlatego też tacy, jak ty, panie Ignacy, obywatele, wszyscy w żydowskich rękach, i za majątki swe, które się Żydom dostają w ręce, odbierają w zamian naukę szachrajstwa.

— Zanadto jesteś surowy, panie bracie! — odparł pan Ignacy, urażony więcej, niż zwykle, wskutek zapewne dzisiejszego rozdrażnienia.

— Alboż cię nie namawiał może na jakieś nowe szachrajstwo?

— Szachrajstwo!... nowe!... pan major dziś jest w złym humorze.

— Mniej dbałbyś o mój humor, a więcej o własny honor.

— Mój honor!... panie bracie! — mówił graf dalej, przybierając minę poważną niby, co jego twarzy, żadnego nie mającej znaczenia, nadawało wyraz nadzwyczaj pocieszny. — Co honor może mieć wspólnego z Żydami?... Posuwasz się zanadto, majorze!

— Ja się posuwam zanadto!... tam do kroćset beczek batalionów! nie ciągnij mnie za język, panie Ignacy.

Jako twój brat i to starszy, mam przecie prawo dbać o twój honor, jeżeli nie przez obowiązek, nie przez uczciwość, toć, do diabła, dla tego samego, że obaj jedno nosimy nazwisko.

— Ależ, panie bracie!

— Tu niema żadnego ale!... Szachrujecie z tym psem niewiernym i okpiwacie, kogo tylko złapać możecie na pożyczki i kupna, pożyczki bez nadziei oddania, kupna zaś bez towarów.

— Zdaje mi się przecie, że mi wolno w moim majątku własnym...

— Własnym!... — krzyknął major głosem grzmącym, jakby stał przed pułkiem. — Własnym! — powtórzył i zmarszczył siwe brwi, a oczy wyteżył, aż się zdawało, jakby się iskry ze śniegu sypały. — Krótką masz pamięć, panie Ignacy!

— Ja tylko chciałem powiedzieć...—zaczął i urwał pan graf z wzrastającym zmieszaniem.

— Wiesz, że nie jest moim zwyczajem przypominać, co przykre, i wspominać, co się nie wróci. Ale czego zanadto, tego i zawiele, mój bracie!... Żyjemy razem z sobą, pod jednym dachem, lat dwadzieścia z okładem, i wiesz dobrze, że ja, choć starszy brat, com cię bębem na kolanach huśtał, jestem niby paniczem w twoim domu i za panicza uchodzę, bo sam dajesz to do zrozumienia.

— Kochany Stanisławie, co za myśl!

— Nie baw się w dyplomatę ze mną, starym wiarusem, wyszedłbyś w tej mierze, jak Zablocki na mydle. I mniejsza o moje państwo, jeżeli mi się tak podoba. Jam się od powrotu mego z zagranicy ani razu o rachunki nie spytał.

— Kochany Stanisławie!... twoje serce!...

— Dajmy pokój sercu. Między nami, panie Ignacy, nie może być mowy o sercu — zawołał major z bolesnym i smutnym przyciskiem. — Na punkcie serca rozeszły się nasze drogi, i chyba się zejda zastygłe pod kamieniem grobowej kaplicy. Jam walczył na pobojuwisku, tyś się wtedy wylegiwał. Nie twoja to może wina i, niestety, nie ty sam taki... Serce!... serce! między nami!...

I z dziwnym wzruszeniem zamilkł, i kilka razy nierównym po salonie przeszedł się krokiem. Pan Ignacy usunął się w kąt i stanął, jak trusia, i na tyle tylko dyplomacyi zdołał się zdobyć, że zabębnił na szybie jakiegoś kozaczka.

— Lecz nie o tem mowa! — zaczął znowu major, i pociągnął się za wąs, jakby chciał tym sposobem wyciągnąć wszystkie przykre myśli.—Nie rachowałem się z tobą, i wiesz najlepiej, że grosza ojcowizny nie odebrałem od ciebie.

— Okoliczności!...

— Okoliczności to wymówka dla głupców i dla łotrów. Nie przerywaj mi, bo tylko mnie irytujesz, a ja ci muszę powiedzieć, co mam na sercu. Nie odebrałem, bo mi się tak podobało, bo mnie, staremu żołnierzowi, nie wiele potrzeba, a ty... ty chciałeś się żenić wówczas. I gdy wzięłeś tego aniolka... co się twoją żoną nazywa... — dodał, a głos jego zmiękł niezwykłym rozczuleniem.

— A już to moja Zosia...

— Jest anioł i kwita. Powiedziałem ci wówczas; nigdy nie odbiorę mojej połowy i grosza złamanego od ciebie nie żadam, ale niech! ona będzie szczęśliwa!...

— Czyż się Zosia skarży?

— Nie przeszkadzaj próżnemi słowy. Ona się nie skarży, ale o jej szczęście bodajby cię nie spytano tam,



gdzie się od obrachunku nie wykręcisz ani dyplomacya, ani Srulem. I powie: ziałem tobie: oczyścić majątek, a jak będziesz miał dzieci, niech ich będzie razem i moje i twoje.

— Ty wiesz, ile się namęczyłem...

— Do milionset karabinów! nie podszywaj się w blażna. Tyś się męczył, aby długi robić na najgłupsze zbytki bo na wystawy tak niedorzeczne, jak ta facyata, która, jak parawanem, zakryłaś ostatnią basztę z zamku naszym dziadów. Przynajmniej, a szlachcic, Polak i żołnierz, słęwa zawsze dotrzymuje; nie upominałem się i mam to dziś na sumieniu, bo przynajmniej moja połowa ratowałaby cię między twoją żonę i twego jedynaka, ostatniego potomka naszego dawnego i poczciwego rodu. A dziś, w razie twej śmierci, mogą oboje pójść pod płot.

— W razie mojej śmierci, Zosia znajdzie w tobie najczulszego opiekuna! — odparł graf szybko i bez zastanowienia, a nie bez złośliwego przycisku.

— Do milion dyabłów! milcz! bym nie zapomniał, że jednego mieliśmy ojca. Rozumiem twoje głupie przywódki, któremi chcesz krzywdzić żonę i brata, ale oplwać i brylant można. I zapewne źle zrobiłem, że, poznawszy Zofię, tobie ją odstąpiłem, tą powodowany myślą, że jestem dla niej za stary. I myślałem, że ty ją kochasz miłością serca młodego!... Tyś kochał jej ciało i posag!

— A pan brat! — syknął graf.

— Pan brat, do kroćset! — zakrzyknął, i nagle uspokoił się, z większą jeszcze, niż dotąd, mówiąc powagi. Pan brat prosi cię, Ignacy, abys się opamiętał i ratował co jeszcze da się ratować dla niej i dla jedynaka. Czyli

chcesz, by twój syn poszedł wycierać biura kancelaryjne i praktykował, i w ten sposób uczył się rozumu?

— Ależ nie jest tak źle! Jeszcze mam środki, mam nadzieje...

— Okpić, otumanić, okraść kogoś za pomocą doradcy twego, Srula.

— Już cię ratować się trzeba.

— A, lepiej, do stu kartaczów, umrzeć z głodu, niż wyratować się ze szwankiem czci i honoru.

— Prawdziwie nie wiem... nie rozumiem...

— Skąd ja przychodzę do takich wymówek? Słuchaj więc. Był dziś u mnie na folwarku Goździkiewicz.

— A, ten łotr, co mię okradł!

— Milcz! jest w tem łotr, ale pewnie nie on! Goździkiewicz służył ci wiernie, jak ojciec jego naszemu ojcu, w którym nawet razem barskie przebywał potrzeby. Tyś wziął pożyczanym sposobem...

— Jeżeli się co należy, to mu się odda, ale ja mam rachunki.

— Wybiegi, których cię nauczył twój Srul, mszczący się na Goździkiewicz, że zawsze walczył przeciwko niemu i może przez lat kilkanaście wstrzymywał twoją ruinę zupełną. Znam te rachunki i wiem, że się jemu jeszcze należy, a tyś go przecie, jak psa, wygonił z chaty, w której się on i jego sześcioro dzieci rodziło, z chaty, którą ojcu jego nasz ojciec dał jeszcze. I zabrałeś mu chudobę!

— Ależ...

— Zabrałeś i śmiesz się zwać szlachcicem!... i dumny jesteś!... czem?... już ci nie przodkami, którzy się wstydzą takiego potomka.

— Ależ, panie Stanisławie! przyznaj, że trzeba mieć wiele cierpliwości...

— Zaiste, Opatrzność Stwórcy ma jej wiele... Goździkiewicz tedy przyszedł do mnie piechotą i błagał o litość... bo jego dzieci głodne!

— Ot, zwykle bajki zebracze!

— Powiadam ci, że jego dzieci głodne, a on nie po jałmużnę, ale po swoją należytość przyszedł...

— Dobrze! jak będę miał czas, trzeba się będzie porachować.

— A tymczasem niech mrą głodem. I ty zaliczasz się do znakomitości towarzyskich, nadymasz się, jak pęcherz! Tfu! czyż może być błogosławieństwo Boże nad nami?

— Wiem ja, dlaczego pan brat tak bardzo trzyma za Goździkiewiczem...

— Ty wiesz! — krzyknął major. — A więc mów!

I zbliżył się do brata, groźny jak nigdy, a takim zapalał gniewem, że aż mu poczerwieniła dawna na czole blizna. Pan Ignacy przestraszył się naprawdę.

— Ja tylko chciałem...

— Nowem oszczerstwem pluć na matkę twego syna; twoja żona ujmuje się za Goździkiewiczem, bo jest kobietą szlachetną, ale ty! ty! czem jesteś?...

— Nic złego nie miałem na myśli... Lecz ciszej, panie bracie! słyszę kroki!... to żona idzie!...

— Gdzie — przemówił ciszej major — miałem jeszcze cokolwiek grosza, przeznaczyłem go dla Eugeniusza... Zapłaciłem Goździkiewicza, oto jego pokwitowanie! A teraz, zaklinam cię, Ignacy, na pamięć ojca naszego, pozwól ratować, co się jeszcze da wyratować z fortuny naszej... dla syna!

— Radbym najszczerzej.

— Sprzedaj wszystko. Możemy jeszcze żyć skromnie, ale uczciwie...

— Gdzieś na bruku, jak jaki szlachetka!

— Milcz!... twoja żona idzie...

Drzwi się otworzyły i weszła kobieta, na której widok oczy męża upadły na dół, a oczy szwagra podniosły się z wyrazem takiej słodyczy, jakiej trudno było się spodziewać po męskiem i hartownem usposobieniu starego żołnierza.

Cała powierzchowność pani hrabiny Zofii była tego rodzaju, iż wszędzie i zawsze silnie robiła wrażenie i mimowolnie zostawała w pamięci. Nie tyle w niej uderzały kształty ciała, jakkolwiek rysy miała regularne, lecz trzeba się było w nie wpatrzeć, by ocenić ich klasyczną piękność. Najwięcej uderzał wyraz na całej twarzy rozlany, wyraz nie codzienny, ale nadzwyczajny i uderzający wyższością jakąś, która rzadko zapewne, ale przecie czasem w niektórych istotach świadczy niejako o arystokracji nie krwi, ale duszy. Mimo lat czterdziestu była to jeszcze kobieta bardzo przystojna; co ubywało z młodości wieku, to jej dodawała młodość duszy i serca, i ta właśnie stanowiła ten szczególny urok, jaki ona wywierała i przykuwała niejako każde spojrzenie, każdą myśl patrzącego. Tym wyrazem, tym urokiem była poprostu poezya wewnętrzna, poezya uczuć i myśli, która rozplomienia zewnętrzną powłokę, jakby ogień kryjącą go obsłone lampy. I powłoka ta doskonale odpowiadała wyrazowi, bijącemu z wewnątrz; bo pleć jej była biała i przezroczysta, oczy jasne, że się przez nie aż do głębi serca wglądało; a nad tem wszystkim unosiły się, jakby lekkie obłoczki, włosy jasno-blond, tej barwy mgli-

stej, która mimowolnie wprowadza w krainę jakichś, rzeczby można, ossyanowych marzeń. Jednym słowem, w całej powierzchowności tej kobiety, w jej nawet nadzwyczaj gibkiej postawie było coś idealnego, coś niezemskiego prawie, czemu pomagało takie to jej rozmarzenie w oczach, których wzrok zamysłony zdawał się sięgać poza ziemskie granice. A jeżeli było co w niej ziemskiego, to ta pocziwa słodycz w spojrzeniu, to ten rys smutku koło ust. Widać, że ta kobieta cierpiała i z cierpień wyciągnęła nie mściwą gorycz, ale prawdziwie chrześcijańskie miłosierdzie, pocieszać żadne.

Lecz jakimże sposobem mogła zostać żoną takiego człowieka prozaicznego, dyplomaty niedoścignętego, zimnego samoluba, jakim był graf Ignacy? Było to pytanie, które sobie każdy zadawał po pierwszym pobieżnym poznaniu obojga. Odpowiedź na to pytanie leży, niestety, w rzeczywistości zwykłego świata, która nam wskazuje nieskończoną liczbę podobnych wypadków. Wół z pegazem, przywiązane razem do pługa życia, jest to częstsze, niż myślimy, wydarzenie. Jeśli mężczyzna jest pegazem w takiej parze, to się przynajmniej wyrwie, pług życia zostawi daleko za sobą w błocie i polecą choćby na złamanie karku. Ale jeżeli nim jest kobieta, pozostanie w pługu, najczęściej niepoznana i nieoceniona, dla Boga tylko i Jego na ziemi natchnionych proroków aureolą poświęcenia i rezygnacji, gdyby wieńcem świętej męczenniczki, opromieniona.

Taką była pani Zofia w chwili, w której pierwszy raz na scenę powieści naszej występuje ze środka kwiatów cieplarni, stanowiących godną tego pięknego zjawiska ramę.

Dni jej zameścia i jej życia krótkie i zwyczajne,

a niezbyt wesołe. Rodzice jej byli ludzie wyjątkowi, jacy się i pod naszym zimnem niebem społecznym trafiają. Dobrze urodzeni, majątni, nie żyli dla świata i jego znakomitych fraszek, ale dla siebie w cichej ustroni wiejskiej, z wiarą w dobrego Boga, który ich połączył z myślą wyższą, nieco może za poetyczną na prozę życia, i z miłością w sercu ku sobie tak gorącą, że starczyła na ciepłe i romienie, oświecające i ogrzewające niejedną obcą niedolę. Strata kilkorga dzieci rzuciła cień smutku w ich samotne pożycie i skróciła im dni. Pieszczotliwą i bojaźliwą nieco ich miłością otulona, nie mogła nabyć tej siły hartownej, któraby wystarczyła na mnogie tego życia walki. Nauczyła się marzyć, modlić się, kochać, ale czyliż to wystarczy na pierwsze cierpienie? To też, gdy przyszło to cierpienie, a los go jej nie szczędził, cóż się z marzeń, modlitwy i miłości wyrobić w niej mogło, jeżeli nie potulna rezygnacja?

Pierwszym okropnym dla piętnastoletniego dziewczęcia ciosem była śmierć rodziców, którzy w przeciągu kilku dni pomarli oboje. Łzy sieroctwa ciężko spadają na serce, bolesne w niem na całe życie zostawiając ślady. Biedna Zosia w wieku dziecka, w wieku swawoli, pożegnała się na zawsze z swobodą i wesołością dziewczęcia. Opiekunem jej został daleki krewny, bo bliższych nie miała. Był to człowiek prawy, sumienny, niezdolny oszukać, ale zimny, rachunkowy, niezdolny do uczuć mocniejszych. Żył w wielkim świecie i tam biedną sierotę pociągnął za sobą. Po kilku dniach pojął, że się nigdy z sobą zrozumieć nie mogli, starał się więc co prędzej pozbyć tego ciężaru uczuciowego ze swego domu nieuczuciowego.

Umiał dać sobie radę ze wszystkim, ale nie ze ła-

mi czulej dziewczynki, na które nie pomagały ani piękne stroje, ani stołeczne zabawy, ani salonowe zbytki. Postanowił więc co prędzej wywiązać się z obowiązków opiekuna, wydając ją dobrze za męża. A to „dobrze“ jak się tłómaczy w świecie, do którego należał opiekun Zofii, każdy wie, który jakąkolwiek z tym światem miał styczność. Na horyzoncie stołecznym jaśniał wówczas pan Ignacy. Został świeżo hrabią, miał wszystkie zalety salonowca, i rzetelniejsze piękno urodzenia i znacznego majątku w ziemi, który, chociaż nadszarpanięty trochę, łatwo było podreperować posagiem Zofii. A więc wydał ją dobrze, bo za grafa Ignacego, którego osobiście lubił, jako człowieka zbliżonego do siebie całem egoistycznym usposobieniem.

Cóż mogła powiedzieć siedmnastoletnia dziewczyna, której tak cudzo, tak zimno było poza domem rodzicielskim, pustym już dzisiaj, bo ci nie żyją, którzy byli jego duszą! Pan Ignacy nie był brzydki, a przytem, jako wykształcony światowiec, umiał dobrze i wymownie mówić, kłamać, deklamować. Nie czuła do niego żadnego pociągu, ale i odrazy nie miała; przypomniawszy sobie życie szczęśliwe rodziców. Biedne to dziecko myślało, że i ona w nowym stanie znajdzie choć cząstkę tego ciepła serdecznego, bez którego było jej tak zimno, za którym było jej tak tęskno. Dlaczegoż więc przystać nie miała.

Była jednakże chwila wahania się, gdy narzeczony przyprowadził i przedstawił brata swego, pana Stanisława. Młode dziewczę zadrżało pod jego spojrzeniem męskim, pełnem życia i ognia; a to spojrzenie długie, przeciągłe i z dziwnym wyrazem spoczęło na niej. Mimo całego niedoświadczenia, odgadła ona pana Stanisława lepiej od innych, którym zimna jego i purytańska prawie

surowość, tak dziwnie odbijająca od owych czasów bezzmysłnej wesołości, nie przypadła do smaku. Ona w surowej twarzy odgadła dobroć, a w spojrzeniu dostrzegła serce. I żywiej, niż kiedykolwiek, przypomniała sobie rodziców, którzy ją tak serdecznie kochali. Gorąca łza spłynęła do długiej rzęsie, i o dziwo! w męskim przyszłego szwagra oku, zdało się jej, spostrzegła jedną łzę taką. Najsilniejsza jest sympatya łez, których krynica jest serce. Zosia czuła sympatyę do pana Stanisława. Czy nic więcej nad to? Czyliż niedoświadczona dziewczyna mogła zrozumieć lepiej własne uczucie? i gdyby nawet rozumiała, czyliż byłaby w stanie oprzeć się woli i zbiegowi okoliczności, które już ją spętały swymi silnymi ogniwami? Ani też pan Stanisław mógł jej ułatwić sposób ten zrozumienia siebie. Znadto był na to surowy i prawy; obowiązek miał za świętość. A jeżeli uczuł co, milczał i nawet oczom milczeć kazał. Przeszło więc tylko chwil kilka, pełnych wyższego uroku, które zostaną obojgu w skarbcu pamięci drogiemi, czystej białości perłami.

Parę łez rozczulenia, kilka marzeń rajy godnych, kilka westchnień z serca ku niebu wysłanych, to było wszystko, co Zosia pozwoliła sobie zachować w najskrytszym serca tajniku, gdy została żoną pana Ignacego.

Jakie było jej pożycie z mężem, na cóż opisywać?! Dzieje tych drobnych cierpień, bólów szpilkowych, których świat nawet rozumieć nie chce, które świat lekceważy, nikogo nie obchodzą.—Ot! przesady romantyczne! —krzykną obojętnie i z szyderstwem na każdy jęk boleści takiej, który przecie jest drganiem kurczowem serca. Co więc przecierpiała biedna Zosia, która wnet poznała męża, to zamknęła w sercu na zawsze; uzbrojona w cier-

pliwość aniola, bóle niezrozumianego serca nosiła prawdziwa męczennica, jakby kolącą włosienicę.

Bóg też ją pocieszył. Pocieszył szczerą wiary natchnieniem, pocieszył nareszcie czystym, ojcowskim prawie przywiązaniem pana Stanisława, pocieszył nareszcie urodzeniem syna jedynaka. Jakie bóle, jakie cierpienia, jakie smutki są tak mocne, by ich kobieta nie zapomniała, gdy zostanie matką? Na głowę też Eugeniusza zlała Zofia cały źródło tych wszystkich uczuć, jakie wpieścili w nią rodzice, jakie przemarzyła i przebolewała w walce z prozą życia.

Tak przeszło lat dwadzieścia od urodzenia pana Eugeniusza, którego wkrótce poznamy. Wracajmyż teraz do salonu wyżynieckiego.

Pani Zofia weszła do niego z pewną nieśmiałością, i nawet w oczach jej dostrzedz można było nieco zmieszania. Przechodząc przez cieplarnię, musiała zapewne usłyszeć żwawą rozprawę, a może też i które ze słów wymienionych doszło jej uszu. Major spostrzegł ten wyraz na twarzy bratowej i zbliżył się do niej pośpiesznie.

— Dzień dobry! — wyrzekł z układnością starego wiarusa, pocałował piękną bratową rączkę i uśmiechem zdawał się ją uspokajać. Uśmiech ten pani Zofia wynagrodziła uśmiechem, któremu nadaremnie chciała nadać pozór wesoly.

Pan Ignacy tymczasem spozjrzał tylko na nich z pod oka, i także uśmiechnął się, ale uśmiechem nieco szydącym. Temu to idealnemu uczuciu, łączącemu brata i żonę, na którego ocenienie nie wysiłał się nawet, bo nie dbał o nie, zawdzięczał on bardzo wiele. Jakoż rad był z niego, chociaż w duszy żartował sobie z obojga,

a nawet głupcami nazywał, sam nie umiając zrozumieć żadnego szlachetniejszego uczucia.

I w rzeczy samej, dla bratowej to szczęścia major poświęcił całe życie swoje. Przed ożenieniem się pana Ignacego gospodarował on czas jakiś na majątku wspólnym i na stosowną tylko czekał chwilę, by się nim podzielić. Lecz gdy się brat ożenił, major, rozpoznawszy bliżej stosunki majątkowe, przekonał się, że, odbierając swoją połowę, zniszczyłby brata do reszty. I cóżby nawet zrobił, odebrawszy? Życie jego już i tak było skrzywione, bo major należał do ludzi, których uczucia równie są silne, jak i stałe. Nie upominał się zatem o swoje, i pozostał w Wyżynicach, wyrzekając się nawet tej, każdemu człowiekowi najdroższej niezawisłości, a cóż dopiero człowiekowi w pewnym już wieku, wojskowemu, który przywykł rozkazywać drugim. I nie dosyć na tem, ale sam jak najzawzięciej gospodarował, i jeżeli dotąd pan Ignacy zupełnie nie zbankrutował, winien to był trudom i usilowaniom braterskim. Z czasów żołnierskich zostało majorowi nieco gotówki, nareszcie brał z Francji pensyjkę za krzyż legii honorowej, który mu pod Austerlitz sam Napoleon przypiął; wszystko to obracał po części na gospodarstwo, po części na pokrycie niejednej potrzeby domowej, chowając się wszakże z tem jak najzawzięciej, jakby z grzechem jakim. Pani Zofia mimo całej naiwności i niedoświadczenia swego rozumiała to, jakoż jej wdzięczność i przyjaźń dochodziła granic prawdziwie idealnych; ona uwielbiała to istic złote serce poczciwego pana Stanisława. Pan Ignacy, jak mówiliśmy, żartował sobie tylko z tego uczucia, a ani mu przyszło na myśl być bratu wdzięcznym za to jego zupełne zaparcie się i poświęcenie.

— Kochają się po swojemu! tem lepiej dla mnie — pomyślał i tym razem.

I zbliżył się do żony z uśmiechem zimnym, jak jego serce, a nic nie znaczącym, jak jego głowa. Ucałował także jej rękę z przesadną grzecznością i pociągnął za taśmę od dzwonka.

Była to pora śniadaniowa. Pan Ignacy, jako człowiek wykształcenia europejskiego i dyplomata, trzymał się zwyczajów angielskich. Weszło dwóch długich i chudych drągali, ubranych w liberye mocno wytarte, których objętość przypominała lepsze czasy i tłustszych poprzedników, i przygotowało wszystko do śniadania à l'anglaise, to jest do herbaty z dodatkiem rozmaitego jada.

— Przechadzałaś się, ma chère, po parku? — zapytał pan Ignacy żonę, zajęta przyrządzaniem herbaty.

— Chwilę tylko, bo mi właśnie przyniesiono list...

— List? — zapytał mąż z niepokojem.

Od dawna nie znał innych listów, prócz od wierzycieli, a nie odbierał żadnych pism, chyba od sądu.

— List, zapraszający nas na zabawę.

— I gdzież to w naszej okolicy bawić się zamyślają? ciekawym bardzo, u którego z tych naszych szlachciców?

— Zabawa ma być w Niżyńcach.

— W Niżyńcach! i nas tam śmia zapraszać... do aptekarza, czy może do justycyaryusza?

— To są imieniny Henryki.

— Pani Krajkowskiej, żony plenipotenty i dzierżawcy Niżyniec?

— Henryka jest krewną...

— Twoją! — przerwał pośpiesznie graf Ignacy.

— A więc i naszą! — zagrział major.

— Zapewne! zapewne! — rzekł pan Ignacy, poprąwiając się niby. — Nie wiem, skąd przyszło twoim rodzicom, ma chère Sophie, wydawać kuzynkę...

— Siostrę stryjeczną mojej matki...

— A tak, jest tam coś ciotecznego... ale za jakiegoś Krajkowskiego...

— Krajkowski, czy nie — przemówił major — mniejsza o nazwisko, które dziś dosyć nurzają w błocie, ale jest to człowiek uczciwy, który, prowadząc interesy swojego pryncypała i małą trzymając dzierżawkę, zasługuje na powszechny szacunek.

— Skądże pan brat przychodzi do takich liberalnych maksym? Nie znałem pana Stanisława z tej strony.

— Lubię zapewne przestawać z równymi sobie, lecz przyznaje, że równych mnie mogą zniżyć ich postęпки, a niższych podnieść prawe i szlachetne ich życie.

— C'est très beau!... Ale spodziewam się, ma chère Sophie, że odmówiłaś...

— Jeszczem nie odpisała. Co się tyczy nas, Henryka się nawet nie spodziewa, bo wie, że my mało gdzie wyjeżdżamy; ale ona chciałaby poznać Eugeniusza, o którym dowiedziała się, że przyjechał do nas.

— I złapać go dla której z córek swoich.

— Mężu!...

— Dziwnie pleciesz, panie Ignacy, jak na dyplomate. Ciekawy jestem, coby Krajkowskim przyszło z Eugeniusza. Oni potrzebują na zięcia nie grata, ale człowieka, co ma pewny majątek.

Zofia rzuciła na majora spojrzenie na poły dziekinne, na poły przestraszone. Ale pan Ignacy doskonale i bez zakrztuszenia się połknął tę pigułkę.

— Tam przecie będzie całe towarzystwo miasteczko-

we. Czyż można dopuścić, aby się Eugeniusz tak kompromitował z tą całą trzodą śmiesznych i głupich figur?

— Nie zaprzeczam, że tam są figury śmieszne może, tem ci gorzej dla nich. Ale cóż to ma kompromitować Eugeniusza? I czy pan Ignacy myśli, że między naszymi towarzystwami niema rażących śmieszności?

— C'est toute autre chose!

— Henryce byłoby to tak przyjemne.

— I zabawiłby się! — dodał major — lepiej, niż, że chodzi ze zwieszoną głową i oczyma rozmarzonymi.

— Czy major myśli, że może Eugeniusz... — przerwała matka z wyrazem niepokoju na twarzy.

— Ja tylko myślę — mówił major — że dla młodego człowieka lepiej, gdy szaleje, skacze i sceny wyprawia, niż, gdy, jak nasz Eugeniusz, odda się nadto marzeniom złudnym, może poetycznym, ale zawsze bezużytecznym, osobliwie w naszym życiu prozy. Samotność, w jakiej żyjemy, dla niego najgorsza.

— Widzisz, mężu!

— Nie dajże czekać, ma chère, posłańcowi i odpisz grzecznie, ale odmownie.

— Z odpisem nie mam co się spieszyć, bo posłaniec pojechał jeszcze do Lypkowiec.

— Do Glinieckiego?

— Z podobnem zaproszeniem dla niego i córek.

— Tak!... no!... no!... — przeciągnął pan graf i zamyslił się.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł przez nie cudownej urody młodzieniec z niezwykłym wyrazem twarzy. Był to Eugeniusz, jedynak państwa Wyżyńskich. Dwa czule spojrzenia pobiegly ku niemu: matki miękkie,

pieściwe, stryja męskie, ale nie mniej pełne serdecznego przywiązania. W matce przeważało tkliwe rozczulenie, w majorze pewien rodzaj dumy.

Powierzchnowość Eugeniusza była uderzająca; prócz niezwykłej bowiem urody, twarz jego promieniła się wyrazem dziwnej jakiejś szlachetności i wyższości. Wyższość tę, spoczywającą na wysokiem czole, strzelającą z oczu, pełnych wewnętrznego ognia, każdy patrzący odrazu przyznać musiał. Mianowicie w spojrzeniu jego ciemnych oczu przebijało się natchnienie, które zdawało się go unosić ponad ziemię.

I tak było w istocie. Dziwne było to usposobienie Eugeniusza, zupełnie nieodpowiednie całej prozie życia, jaka go otaczała i jaka przemawiała do niego ze zwykłych stosunków czasu, w którym żył, i stanu, w jakim się urodził. W tym względzie przypominał matkę trochę, do której, mimo wielkiej urody obojga, zupełnie nie był podobny. Żadnego rysu nie mieli wspólnego, zacząwszy od oczu i włosów, które u matki były jasne, a ciemne u syna, a skończywszy na zaokrągleniu twarzy i ceryze lica. Pani Zofia miała pleć przezroczystą jasnej blondynki i kształt twarzy czystego typu słowiańskiego, Eugeniusz zaś sniadą lica białością i owalnym twarzą zaokrągleniem przedstawiał typ ras wschodnich.

Lecz i podobieństwo usposobień było pozorne tylko. Oboje mieli popęd do życia idealnego, w obojga duszy mieszkała poezja; ale u matki poetyczność ta była cicha, słodka, w mgłę marzeń niknąca, gdy tymczasem u syna usposobienie poetyczne, burzą może krwi młodej spotęgowane, podniosło się do egzaltacji, do entuzjazmu, parło go ku czynom jakiegoś życia niezwykłego,

życia burzy i awantur. Każde uczucie wewnętrzne, gdy wybiegło do oczu matki, pojawiała się chmurne, mgliste, póki deszczem łez nie ściekło. W oczach młodego Eugeniusza uczucie każde wybiegało chmurą, ale chmurą gromami ciężarą, i odzywało się błyskawicą spojrzeń zapalczywych. To też kto znał bliżej Eugeniusza, łatwo przewidzieć mógł, że pierwsze mocniejsze uczucie, gdy się w nim rozbudzi, wywołać może burzę niezwykłą i pchnie go do czynów, wychodzących poza obręby dzisiejszych stosunków, którymi nie da się skrepować.

Lecz skąd przyszedł do usposobienia tak wyjątkowo romantycznego? A skąd przychodzi słowik do swego głosu, pełnego cudnej harmonii, skąd się rodzi w piersi chłopaka lub dziewczycy iskra ledwie dojrzana, która tam upadła Bóg wie skąd, i Bóg wie jak rozdmuchana, zaświeci światu zdumionemu pochodnią geniuszu? Jest to tajemnica dla nas niezbadana, której klucz spoczywa w ręku Opatrzności. Wychowanie Eugeniusza nie było po temu zupełnie, by się, wedle zwykłego naszego pojęcia, mogła w nim rozbudzić ta iskra romantyczna. O ojcu już nawet wspomnieć nie warto, bo ten mało co wtrącał się do syna, a jeżeli kiedy przemawiał do niego, to słowami sobie właściwymi, słowami próżnej, jak pęcherz nadętej pychy. I dziwna rzecz! od lat najmłodszych Eugeniusz mało ważył zawsze te wszystkie heraldyczne wiadomości, które ojciec jego cenił najbardziej.

Najwięcej zajmowali się nim matka i stryj. Po matce zapewne najprędzej spodziewałby się można, że rozbudziła w nim to poetyczne usposobienie; lecz ona swoją miłością czułą, zdolna była tylko rozpieścić, rozmiękczyć, rozkwilić syna. Jako matka, najpierwej dostrzegła w nim to usposobienie i, bojąc się jego gwałtowności, walczyła

przeciw niemu całą siłą swojego przywiązania matczynego i miękkich uczuć swoich. Lecz nadaremnie!

Ani też od stryja nabyć to mógł, czego sam stryj nie miał w sobie i czemu był najwięcej przeciwny. Stryj, jako wojskowy, lubił porządek we wszystkim, i starał się synowca nagiąć ku niemu koniecznie. Używał wszelkich środków, dobrych i złych. Nadaremnie!...

Eugeniusz wszystko pojął, wszystkiego się nauczył, ale po swojemu, bez wszelkiego porządku; raz przypadkiem, raz drugi naumyślnie, najczęściej natchnieniem, które rozbudziło jedno słowo, jeden ton zasłyszany, jeden rys, który silnie uderzył w duszę młodzieńca.

Dziwny też był jego stosunek do całej rodziny. Dla ojca był jakby cudzy; zimny i obojętny na pozór, bał się nawet zastanawiać nad własnymi uczuciami, bo te graniczyły z pogardą prawie...

Dla matki był nadzwyczaj czuły, uprzedzający, gołów nawet do wielkich dla niej poświęceń. Jej smutne czule spojrzenia wzruszały go; i chętnieby w ogień skończył, byle jej jedną łzę oszczędzić, możeby nawet życie swoje oddał, więcej może przez obowiązek synowski, do którego bardzo się poczuwał, aniżeli przez miłość. On czuł nawet litość dla jej miękkiego usposobienia, które ledwie mógł zrozumieć.

Najwięcej może przywiązany był do stryja, który jeden mu imponował, nie tyle powagą osobistą, ile przebytem życiem wojennem, o którym major, jak każdy wiarus, rad rozmawiał.

Wojny napoleońskie ze swoimi cudami biegały nieraz po rozpalonej wyrostka głowie, przybierając na się postać napół bajeczną, która go nęciła i najdziwniejsze na przyszłość rozbudzała myśli. Major tedy w jego wyo-



brazeniu był typem niejako owej wielkiej epoki. Szanował w nim silny charakter, który odgadł pierwej instynktem, nim poznał za pomocą rozumowania.

Lecz silniejszą nad te wszystkie względne tylko uczucia jego była w nim pamiątka, z lat dziecinnych jeszcze pozostała. Było to wspomnienie mamki. I była to rzeczywiście pamiątka serca tylko, bo gdy ją stracił z oczu, był w wieku, z którego mało zostaje zupełnych wyobrażeń. A nieraz zdało mu się we śnie, nieraz, gdy zamarzył na jawie, że mu świeci nad czołem dwoje czarnych, promienistych oczu, tak jak mu zaświeciły, gdy po raz ostatni przyszła mamka odwiedzić ukochane dziecię, własnem mlekiem wykarmione. Przyszła, jak to nieraz pierwej uczyniła, przyszła i już więcej nie wróciła. Jaka była przyczyna jej zniknięcia, nigdy dobrze Eugeniusz nie wiedział i nie pytał nawet o to. Ale byłby przysiągł, że dziśby jeszcze mógł pokazać to miejsce na czole, dotknięte jej silnym i gorącym pocałunkiem; a oczy te, uczuciem gorejące, tęskne bólem czy smutkiem, dziwnem uczuciem padały mu aż na serce. I zdało mu się, że przypomina sobie ułamki jakichś bajek przez nią rozpowiadanych, i przesuwaly mu się przed oczyma rozmaite z nich zarysy, jakieś gusła i zabobony prostego ludu naszego, między którymi najżywiej drżały oczy urocze, oczy mamczyne.

Gdy już wyszedł z lat dziecięcych, długie były nad tem debaty, czy oddać go do szkół, czy w domu wychowywać. Graf Ignacy był za tem naturalnie, aby potomek rodu tak szlachetnego w domu pozostał i nie poniewierał się w tłumie gorzej urodzonych kolegów. Matka również tak sądziła przez przywiązanie do jedynaka i bojaźń, by przy jego burzliwym usposobieniu nie stało mu się co złego. Lecz major przemógł, tego będąc przekonania, że na uspo-

sobienie zbyt egzaltowane młodego chłopca najzbawieniejsze być może wczesne wdrożenie się w koleje życia codziennego.

Nie wiele to wszakże pomogło, bo w początkowych zaraz szkołach, do których w małym miasteczku uczęszczał, mały chłopiec stał się środkowym punktem odrębnego zupełnego życia, które sam z własnego utworzył kaprysu. Niepodobna było nagiąć go do zwykłego trybu ani groźbą, ani prośbą, ani karami. W szkole siedział cicho i słuchał, ale ledwie wyskoczył ze szkoły, a za nim cały tłum chłopaków, którzy go słuchali, jak wyroczni, stawał się wodzem wypraw najrozmaitszych. Nieraz darmo wszystkie matki do późnej nocy czekały na chłopaków swoich; oni wybiegli za geniuszem, jak go nazywali, i daleko za miastem albo wojenne odbywali wyprawy na dzikie tłuścze, przez krzaki i szuwary nadbrzeżne przedstawiane, albo wyprawiali łowy szalone za dzikim zwierzem, na czem najsmutniej wychodziły spokojnie na błoni pasące się trzody, albo znowu puszczały się w jakieś dalekie podróże, szukając dziwnych awantur, przyczem każda kaluża była morzem, a sterczące na niej grudy wyspa, a gajki za miastem okropnym borem, zamieszkałym przez wilkołaki, wyszczerzające się ku nim z każdego suchego pniaka. Z tem wszystkim ani nauczyciele, ani rodzice walejsających się za nim chłopaków nie mogli się długo gniewać na niego, bo przebaczały mu dla jego serca poczciwego, którym wiedziony, nieraz głodnemu oddał własne jadlo, lub obdarłemu surducik z siebie.

Z wiekiem nie ubywało mu romantycznej fantazy; nabierała ona pewnych wybitniejszych celów, w których zawsze przebijało się dążenie szlachetne, aż do egzaltacji posunięte. Życie koleżeńskie uporządkował on wedle pew-

nych przepisów, poetyzowanych bujną jego wyobraźnią. Z koleżeństwa utworzył rodzaj braterstwa, gotowego na wszelkie poświęcenia się jednego dla wszystkich i wszystkich dla jednego. Jakkolwiek w życiu studenckim wiele jest jeszcze żywiołów poetycznych, im starsi są uczniowie, tem więcej obejmuje ich proza życia, którą nie zawsze udało się Eugeniuszowi nagiąć do swoich wyobrażeń. Stąd powstawały nieraz wypadki napoly komiczne, napoly tragiczne. Najslawniejszem było wydarzenie jedno, które wielki dało rozgłos Eugeniusza ekscentryczności, jak czyniano już nazywać jego usposobienie. Z całej szkoły wypędził on wpływem swoim różnicę stanów. Szlachetność osobista była u niego szlachectwem, z którego, jako z tytułu spadkowego, drwił nielitościwie. Owóż między kolegami jego był młody baron jakiś, syn zamożnych rodziców, poczciwy bardzo chłopak, poddający się chętnie przewadze Eugeniusza, ale uparty na punkcie swego baronostwa, które wysoce cenił. Pomiędzy rzeczami, które najczęściej oburzały młodego Wyżyńskiego, najnienawistniejszy był mu zbytek wogóle, a w szczególności zbytek w stroju. Pominąwszy inne względy, wychodził on z tego stanowiska, że uboższych kolegów, których wielu było w miasteczku, boleśnie razić musi ta różnica w ubiorze.

Na walnem zgromadzeniu przeprowadził tedy tę uchwałę, aby się wszyscy ubierali jednostajnie, i to jak najtaniej. A że to było w lecie, zdecydowano, aby posprawać sobie suknie z prostej wreciny, krojem czamarkowym. Był to czas, w którym czamarki znakomitą odgrywały rolę. Uchwała została wykonana prędzej czy później, stosownie do możności każdego osobistej. Baron, który lubił się stroić, najdłużej się temu opierał; nie miał nic

przeciw czamarce, ale wrecina oburzała jego smak arystokratyczny. Napomniany wszakże kilkakroć, ustąpił i, dawszy na to słowo, w niedzielę przyszedł na mszę studencką w wrecianej czamarce, lecz, chcąc choć czemkolwiek dogodzić swojej pańskiej próżności, do dał czamarce podszewkę jedwabną, amarantową. Eugeniusz obruszył się na to, a za nim drudzy. Zmiana w przepisanim stroju uznana została za karygodną. Nazajutrz w szkole napadli go hurmem wszyscy, krzycząc szederco:

— Baron! baron!... chce się od nas odróżnić!...

— A więc baron! i cóż z tego? — zakrzyknął chłopak zaperzony.

— Na ławkę z nim! — zawołał Eugeniusz.

— Na ławkę!... — powtórzyli drudzy.

I biedny baron, schwycony, znalazł się na ławce, ale nie twarzą do góry. I przychodzili jeden po drugim i krzyczeli nad nim:

— Wyrzekasz się baronostwa?

Baronostwo i jaskrawa podszewka stanowiły w tej chwili jedno i to samo.

— Nie wyrzekam się!... — krzyczał młody zawzięty baron.

Każdy przechodzący egzorcyzmował go silnym plackiem, chcąc, jak twierdzili, wypędzić z niego barona.

Uparty chłopiec zaciął się i krzyczał ciągle:

— Jestem baronem i baronem zostanę.

Szkoda było tyle stałości dla takiej sprawy, bo nim nadszedł nauczyciel, młody baron niepospolicie ucierpiał w pewnej na punkcie baronostwa najniewinniejszej części ciała.

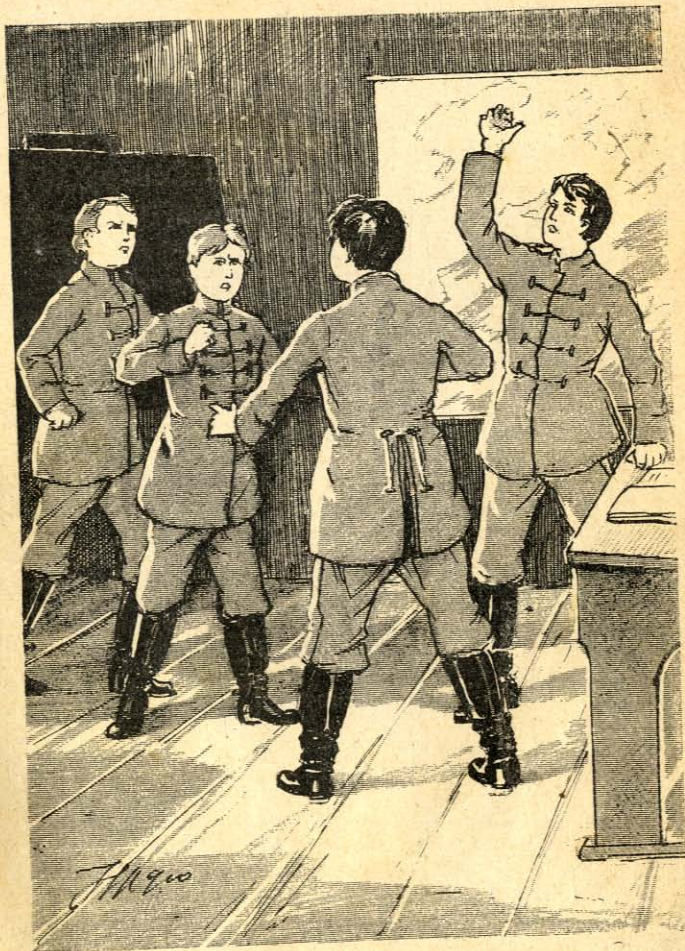
Wypadek ten narobił wiele wrzawy, bo starzy barono-

stwo strasznie wzięli do serca zniewagę, synowi wyrządzoną.

Rodzice odebrali Eugeniusza co prędzej ze szkoły i po wakacjach odesłali do stolicy.

Młodzieńcem na uniwersytecie nie zmienił się Eugeniusz. Objawy tylko jego egzaltowanej natury zmieniły się z wiekiem i postępem w naukach. Pełen zawsze szlachetności i prawości, o której miał utopijne zawsze wyobrażenia, wprowadzał je rozmaitymi sposobami pomiędzy kolegów, za co zyskał pomiędzy starymi perukami nazwę niespokojnej głowy; unikał już teraz ekscentrycznych postępów, ale za to rzucił się z całym zapalem na pole pięknej literatury i po niem gonął za ideałem piękna. Smutna to gonitwa, jeżeli się w niej młodzieniec nie powstrzyma, bo, goniąc po puszczech otaczającej go prozy, ze złudzenia, z odczarowań w odczarowania przechodząc, kończy najczęściej szaleństwem, suchotami lub samobójstwem. Szukać ideału na tej smuntej ziemi naszej, los to Syzyfa, ściskającego mgłę miasto bogini, który na końcu w odpłatę prozaiczną, wiecznie jedną skałę pchać musi pod wiecznie jedną górę. Iluż to takich Syzyfów spotkać można codziennie; zamiast bogini, porwali w ręce jeżeli nie mgłę, to gorsze od niej błoto, i z wysokości swych marzeń wpadli między akta kancelaryjne, przykuci do taczki codzien pełnej...

W takim stanie był tedy nasz młody Eugeniusz, gdy, skończywszy kurs filozofii, wrócił do rodzinnego domu, gdzie już miał pozostać. Ideału tego nie znalazł jeszcze, lecz go szukał zawsze, przekonany, że tylko ludzie słabego ducha cofają się z tak szczytnej drogi. Jaka ma być istota tego ideału, samby zapewne nie umiał wytłómaczyć; bo, przy całej poetyczności swojej i właśnie dla niej może,



— Na ławkę z nim! — zawołał Eugeniusz.

zachował on nieskazitelną czystość i niewinność uczuć i myśli. Nigdy jeszcze nie kochał, chociaż żądza miłości wrzała w nim i zajmowała całą duszę jego niewymowną tęsknotą do czegoś, czego nie umiał nazwać, a czego pragnął z całym zapalem młodości i poezyi.

Od kilku wszakże dni zaszła w nim dziwna jakaś odmiana. Nie mógł siedzieć na miejscu; ciągle prawie na koniu galopował po obszernej płaszczyźnie, oczy jego jeszcze były ognistsze, a na ustach igrał uśmiech pełen dziwnego uroku, uśmiech natchnienia.

I w takim usposobieniu wszedł właśnie do salonu wyżynieckiego, gdzie, jak wiemy, odbywało się angielskie śniadanie. Ojciec, jak na zimnego dyplomata przystało, niczego w nim nie dostrzegł, ale matka i stryj spojrzeli na niego uważniej. Co się z nim stało, nie pojęli, ale wydawał im się w tej chwili tak piękny, jak nigdy. Lekkim krokiem przyskoczył do siedzących; ojca przywitał poważnie, ramienia dotknawszy ustami, na ręce matki złożył pocałunek tak gorący, tak przeciągły, że aż serce jej zadrżało radośnie. Majora objął za szyję i przycisnął najserdeczniej.

— Zadusisz, chłopcze! — zawołał major i marsowa twarz jego uśmiechnęła się wyrazem niewieściej prawie czułości. — Gdzieżeś bawił tak długo?

— Czekamy na ciebie, mój Genciu. Musisz być głodny?

— Nie, mamó! — odrzekł syn. — Zasiedziałem się w ogrodzie. Dopiero po śniadaniu wybieram się na koniu.

Głos jego odpowiadał powierzchowności, pełen był niepospolitego dźwięku. Była w nim harmonia tej poezyi, która przepelniała duszę jego.

— Byle nie na siwym!... on taki dziki! — przemówiła matka z niepokojem na twarzy.

— Ja go sam dla niego ujeżdżałem — rzekł major z wyrazem słodkim.

Słodycz ta wyrazu zastępowała w tej chwili wyrzut, którego uczynić nie chciał. I tak to zrozumiała pani Zofia, bo rzuciła ku niemu spojrzenie tak czule, przeproszące, że aż wąsa dla kontenansu podkreślić musiał nasz major.

— Słuchaj-no, Eugeniuszu! — zaczął ojciec z miną poważną i głosem uroczytym, jakby miał wygłosić wyrocznię jaką.

Taki to już był zwyczaj ex-dyplomaty, i taki bywa zwykle zwyczaj wszystkich ludzi z prózną głową i próżnem sercem, którzy mniemają, że te dwie próżnie zasłonią jeszcze większą próżnią, nadętością głosu i miny.

— Matka twoja — mówił dalej pan graf, maczając w herbacie przypieczoną grzankę chleba — życzy sobie, abyś odwiedził państwa... tych tam... Krajkowskich w Niżyńcach, którzy zapraszają nas na jakiś tam balik, czy imieniny...

— Wszak przypominasz sobie ciocię Henrykę?

— Jakżeż nie! i Adasia, który ze mną był w szkołach, i Binie, i Lincię i... jak mamę kocham, już zapomniałem, jak się jeszcze nazywają...

— I mnie się to trafia — przerwał major dobrodusznie. — Liczną mają rodzinę...

— Mniejsza o to! — rzekł ojciec setencyonalnie. — Jest tam dalekie jakieś kuzynostwo z matką twojej matki... A człowiek dobrze urodzony nie powinien zapominać o powinowatych, chociażby ich los niżej od nas posta-

wił, jakkolwiek bliższe stosunki z ludźmi tego rodzaju nie koniecznie są przyjemne.

— Ależ, mój ojcze! — zawołał syn z pewną gwałtownością.

Matka się zerwała, by zbliżyć się do syna, i major nawet zrobił parę kroków, jedną wiedziony myślą. Oboje bali się zawsze bliższego zetknięcia się syna z ojcem, by zanedo jasno nie wystąpiło to uczucie pogardy, jakie przeczuwali u Eugeniusza, lecz młody człowiek sam się powściągnął i zamilkł.

— Wiem ja, wiem, że ci to może być nie miło, ale w życiu trzeba się nieraz zastosować do okoliczności — odpowiedział pan graf, który przy innych właściwościach swoich miał niezwalczone przekonanie o swojej nieomyślności, i ozwanie się nagłe syna na swoją wytłómaczył stronę.

— Pozajutrze tedy — ciągnął dalej — dobrzeby było, abyś się wybrał wcześniej, i to nowym powozem, czwórka, bo w tem miasteczku pomiędzy tymi parafianami malomieszczkańskimi i tak pozwalają sobie rozmaite o nas pleść rzeczy... Należy tedy takim chłystkom zaimponować.

Tu pan Ignacy krzyknął wyraziście, zadowolony niepospolicie wymowną swadą swoją.

— Cóż nas to może obchodzić! — zawołał major, którego ta rozmowa mocno niecierpliwiła.

— Nie wszyscy są takimi filozofami, jak pan brat; ja z Eugeniuszem...

— Ja, mój ojcze...—przerwał Eugeniusz, lecz mu ojciec nie dał dokończyć.

— Więc tedy — mówił dalej—wybrawszy się wcześniej, mógłbyś wstąpić do Łypkowie...

— Do pana Glinieckiego! — zawołali razem pani Zofia i major.

— Skądże to zdziwienie! — mówił graf, zwrócony do żony z wyrazem surowej niby powagi, która na jego twarzy śmieszna się tylko wydała.

— Wszak nigdy z nim nie żyliśmy tak bardzo — wtrąciła pani Zofia nieśmiało.

— My mało gdzie wyjeżdżamy, ale Eugeniusz znudziłby się; dlaczegoż nie ma odwiedzić sąsiadów... Zresztą pan Gliniecki wywiódł się ze szlachectwa i jest już dziś człowiekiem zamożnym, poważanym.

— I posiada dwie córki, mające po 100.000 1 osagu, nieprawdaż, panie Ignacy?—wyciął major, lubiący mówić prawdę bez ogródek, a oczy zaiskrzyły mu się szlachetnem oburzeniem.

Matka, widząc, że się zanosi na klótnię, starała się odwrócić uwagę syna, dając mu niektóre zapytania i opowiadając o kuzynce Henryce.

— A gdyby nawet i taka była myśl moja?—odpowiedział pan Ignacy.

— Przypomniałbym panu bratu, skąd powstał Gliniecki.

— Otóż macie wolnomyślnych!... demokratów!... pięknie mówią, a sąsiadowi zarzucają ekonomiczne pochodzenie.

— Ja mu zarzucam podły sposób, jakim przyszedł do majątku i jakim go dzisiaj jeszcze powiększa. Zarzucam mu, że na jego majątku cięża lzy ludzkie, lichwa, oszukaństwo i brudy wszelkie. Pochodzenie jego bardzo mało mnie obchodzi. Wy to, co się w arystokratów bawicie, na nie uważacie niby, a niechże przyjdzie interes, gotowicie upodlić się przed najpodlejszym człowiekiem, łączyć się

z lotrem, byle miał majątek, chociażby na nim krew była. Tfu, do kroćset!... Ja szanuję także urodzenie, jako puściznę naszych ojców, ale więcej szanuję uczciwość i prawość, bo to podobno cała puścizna, jaką zostawić będziemy mogli naszym synom i wnukom.

— Gorączka mówi z pana majora! — przerwał pan Ignacy, który, jak zwykle ustępując, chciał rzecz całą w żart obrócić. — Czy wreszcie córki mają odpowiadać za ojca?

— Jabłko niedaleko pada od jabłoni... A potem nie chciałbym, żeby Eugeniusz walał sobie ręce brudnem złotem.

— Ale zawsze złotem! — mruknął graf po cichu i westchnął przytem.

— Czy to warto sprzeczać się o to! — przemówiła pani Zofia, chcąc już raz przerwać rozmowę, na którą, jak to dobrze dostrzegła, Eugeniusz zwracał uwagę ze szczególnym, niepokojącym ją wyrazem twarzy. — Panielki podobno dobrze wychowane, a cóż to nareszcie szkodzi, jeżeli Eugeniusz poodwiecza wszystkie sąsiedztwa...

— Spodziewam się, że mnie ojciec nie każe tam jechać już z oświadczynami?—zagadnął Eugeniusz napół z uśmiechem, a napół z wyrazem dziwnego jakiegoś niepokojem, który nie mógł się ukryć przed okiem matki, usiłującej zrozumieć, co się w sercu syna dzieje.

— Zapewne! zapewne! — mówił ojciec dalej.—A zresztą sam poznasz... a nuż ci się podobają...

— Mnie?... nigdy!... nigdy! — zawołał młodzieniec tak gwałtownie, że wszyscy na niego spojrzeli z nie-małym zdziwieniem.

Lecz Eugeniusz wnet się powściągnął i, kryjąc uśmie-

chem chwilowy wybuch swój, wziął się do herbaty. Na stała długa chwila milczenia. Pierwszy przerwał ją Eugeniusz; lecz był to już widocznie dzień feralny dla tej rodziny.

— Chciałem się też zapytać mamy — zaczął jak najobjętniej — co to jest ten król dziadów, w naszej okolicy mieszkający? Chciałbym wiedzieć bliższe o nim szczegóły...

Pytanie tak proste i niewinne zrobiło wszakże ogromne wrażenie. Graf Ignacy, który niósł właśnie filiżankę do ust, tak się zatrząsł, że aż się herbata wylała, i ledwie filiżankę utrzymać zdołał. Pani Zofia zaś poczerwieniała okropnie. Major jeden siedział najspokojniej.

— Przyznam się, że tyle nasłuchiwałem się o jego władzy!... Dziwne to zaiste... prawda, mamgo?... w naszym wieku...

Nie słysząc odpowiedzi żadnej, spojrział pan Eugeniusz na rodziców i zdziwił się niepomału. Ojciec był blady, jak chusta, matka ponsowa, jak najczerwieńsza róża. Nie mogąc wszakże przypisywać tego swemu pytaniu, ciągnął dalej:

— Taki człowiek, z taką władzą, tajemniczo rozchodząca się po całej okolicy, a nawet po całym kraju, jest to zjawisko nadzwyczaj szczególne... i mogłoby być skierowane...

— Nie jest on niczem innem—zawołał pan Ignacy z niezwykłą gwałtownością i zrywając się z miejsca—jak tylko główną sprężyną złodziejstw w całej okolicy, którą przez podległych sobie żebraków szpieguje.

— Dzisiejszy Iwan Hładysz uchodzi powszechnie za człowieka poczciwego... i nie jest on szczęśliwy! — prze-

mówiła pani Wyżyńska głosem słodkim, ale drżącym nieco.

— Więc to dziedziczne jest królestwo? — pytał dalej Eugeniusz z wzrastającym zajęciem.

— Dajcież mi spokój z taką rozmową!—mówił pan Ignacy coraz gwałtowniej. — Co mnie tam taka figura obchodzić może.

I, porwawszy za czapkę, szybkim krokiem wybiegł do ogrodu. Major tymczasem, który nie bez zdziwienia widział pomieszenie, jakie się odbiło na twarzy bratowej, przystąpił do niej i zapytał ją ze zwykłą otwartością:

— Co siostrze takiego?... czyś słaba?

— Ja — odpowiedziała, jakając się — ja od rana cierpię na ból głowy.

I, spuściwszy oczy z wyrazem smutku, wyszła również z pokoju.

Od majora nic także dowiedzieć się nie mógł Eugeniusz, bo ten ledwie mu słów kilka odpowiedział, zrywając ogólnikami o królu dziadów, którego uważał sam za rodzaj bajki, osnutej na dawnym podaniu.

— Ale on żyje tu od nas niedaleko! i miałem sposobność przekonać się o jego dziwnej i tajemniczej władzy.

— Być może! ale niema o czem gadać! — odrzekł major w roztargnieniu i wyszedł zamyślony. Po raz pierwszy uderzyła go jakaś tajemnica w domu, w którym lat tyle mieszkał, tajemnica brata, tajemnica bratowej, o której nic nie wiedział.

Eugeniusz wybiegł także i siadł na siwosza, który, pod dzielnym jeźdźcem nowego nabrawszy ognia, pomknął wicheru pędem po zielonej błoni. Śliczny był ranek czerwcowy, pełen świeżości i woni, które, z gór płynąc,

napełniały piersi żądzą życia. To też patrząc to w niebo pogodne, to na ziemię strojną we wdzięki wiosniane, cwałując tak lekko na koniu, jakby wiatr go unosił po przestworzu, nasz romantyczny młodzieniec uczył w sobie dziwne uczucie jakiejś zadumy i siły razem. Było to uczucie pełne rozkoszy i zapału. I wszystko, co dumał, co roił, czego żądał, wszystko wydało mu się w tej chwili podobnem do prawdy. Zdało mu się, że już żyje tem życiem awanturnikiem, które nieraz przemarzył, do którego ciągnęło go usposobienie jego egzaltowane. O tak! pędzić i pędzić naprzód, w jakąś nieskończoność, i nieskończone przełamywać trudności, wszystkich ubiedz wrogów, największe przeskoczyć zapory, najdziwniejsze przebyć przygody, toby była rozkosz najwyższa!

— Dalej, koniu siwy! dalej, mój koniu! naprzód! ku życiu innemu, wyskakującemu poza obręby zwyczajnej codzienności. Tylko dalej! pokąd nam obu sił i tchu stanie! Dalej i dalej!

Tak młodzieńcza grała głowa i młodzieńcze drgało serce ku czemuś nieznanemu, awanturniczemu. Krew jego, szybkim biegiem wzburzona, latała jakby prądem elektrycznym z mózgu do serca, z serca do mózgu.

Cała okalająca go przyroda zdawała się być w zmowie z nim swoją niezwykłą pięknnością. Rzeczywiście, cudna to była okolica. Mówiliśmy już, jak urocza była cała ta dolina, ciągnąca się od Wyżyniec, przez której całą szerokość pędził teraz nasz bohater, i z konia mógł łatwo przejrzeć mnogie jej piękności, w powabnym nieładzie tu i owdzie rozrzucone. Gdzie oko zajrzy wokoło, kołysze się morze trawy w swej najświeższej, bo wiosnianej jeszcze barwie, a po niem, jakby wyspy rozrzucone, tam młynki nad strugą ku rzece szumiącą, tam futorki odd

sobnione, tu wioski sadami umajone, tu bliżej nieco miasteczko, okolone tak gęstymi ogrodami, że bliskość jego zwiastowały dwie wieżyczki kościolków, ze środka drzew sterczące. A dalej w półkole zagięte wzgórza i góry, i jeszcze dalej za niemi kilka wyższych szczytów, śniegiem pokrytych. To szczyty Karpat, fantastycznie w dalekiej mgłę wykrojone. Ku nim to młody nasz jeździec roziskrzona oczy wyteżał, jakby w tych mglistych przestrzeniach, po gór szczytach, wśród skał granitowych, obłoków i burz mieszkwały te wszystkie marzeń jego awanturnicze twory. I nieraz wzdęły się piersi jego westchnieniem żądz, która go parła ku tym okolicom nieznanym.

Im dalej się zapędzał, tem więcej oczy jego nabierały blasku. I z mgły obłoków, z śnieżnych szczytów spadały niżej, i w jedno coraz wyraźniejsze zwracały się miejsce. Za rzeką, ku której szybkim zbliżał się pędem, wznosiła się góra, samotnie prawie stojąca na szerokiej płaszczyźnie, do połowy wstęgą rzeki okolona i cała najcudniejszą pokryta zielonością; jedną tylko nagą granitową ścianą nachylała się ponad wodą, a nad tą ścianą, z pomiędzy gajów woniejących i sadów kwitnących, wznosiły się kopuły i krzyże świecące starego monasteru.

Śliczne to położenie i cudnie piękna góra, zdala wyglądająca jakby klomb olbrzymi na skale zawieszony, godna zaiste, by zwrócić uwagę każdego podróżnika.

Lecz dlaczego nasz młodzieniec, który zna ją od urodzenia i tyle razy ją widział, z wzrastającym ku niej spoglądał zapalem? I usta jego, w pół otwarte do westchnienia, uśmiechnęły się z lekka i cała twarz rozpromieniła się pogodą i uśmiechem.



Nagle konia zatrzymał i wyteżył ucho, a spojrzenie skierował na drugi brzeg rzeki. Jemu zdało się, że po drugiej stronie wody słyszy tentent jakiegoś innego konia. Lecz nie! to było złudzenie, echo może, co odbiło głośniejsze uderzenie o kamień jego własnego konia. Nic nie słysząc, tylko szum potoku, który, z góry pędząc, na łotok złapany, prze się gwałtownie ku nęcącej go rzece. Darmo oczy wyteża. Za rzeką trudno co dojrzeć, bo tam od góry, od klombu, nad skałą zawieszoną, jakby z olbrzymiego wazonu posypały się krzaczki drobniejsze, które tamtą stroną ciągną się aż ku miasteczku. Drożyna główna od miasteczka wije się wśród tych krzaków tak dobrze zakryta, że z tamtej strony najlepsze oko nie dostrzeże nikogo, ani też ucho nie dosłyszcy końskiej stopy, miękko w piaszczystym gruncie tonącej.

Chwilowy niepokój znikł z twarzy Eugeniusza. I z nowym zapalem pomknął dalej, a oczy jego i myśl podobno biegły naprzód ku zielonej górze. A przecież on się nie mylił, gdy mu się zdało, że słyszy na drugim brzegu tentent konia. Tak było w rzeczy samej. Na drugiej stronie, na drożynie, przez krzaki wiodącej, dwóch jeszcze było podróżnych, dążących w tym samym, co Eugeniusz, kierunku. Obaj jechali o kilkanaście kroków od siebie i nic nie wiedzieli o sobie. Bo jeden jechał drożyną, a drugi, jakby chcąc, by go nie spostrzeżono, przemykał się małymi ścieżkami, wydeptanymi przez chłopców, orzechy zbierających. Drożyną jechał wózek jednokonnny. Podróżny sam jeden w nich siedział i powoził razem; wózek i konik w najpociesniejszym do siebie byli stosunku, rodzinnego prawie podobieństwa. I człowiek i konik i wózek podobni byli do siebie sta-

rością i zaniedbaniem. Stary konik, z powycieraną tu i owdzie sierścią, kulał na dwie nogi, wózek utykał na jedno koło mniejsze od drugich i pęknięte, a podróżny kiwał starą, trzęsącą się głową. Półszorek na koniu był stary, wytarty i sznureczkami, jak widać po mnogich guzach, nieraz już powiązany. Wózek miał już tylko chude i nagie żebra, bo półdrabinek dawno się był rozleciał; skape już tylko z niego sterczały ostatki, które nawet słomy, na siedzenie wpakowanej, utrzymać nie mogły. To też za każdym nierównym ruchem wózka, sypała się słoma na wszystkie strony, z niemalą pociechą ptaszeków, szpiegujących z poza krzaków, które wnet ją porwały do gniazdek swoich. Nie lepiej wyglądał jegomość, siedzący na wózku.

Ktoby w tej chwili mógł przelecieć ponad tą piękną doliną i popatrzeć z góry, musiałby się zaśmiać na widok przeciwieństwa między tymi dwoma, jadącymi w jedną stronę. Eugeniusz tak młody, pełen ognia i tak przystojny, a jegomość na wózku taki stary, zgrzybiały i brzydki. Cała jego postawa była nader pocieszna, zacząwszy od starego kapelusza z podartymi bokami, na niegdyś białą szlafmycę wsadzonego, z pod którego wysuwała się dłuższa od skrzydeł kapelusza umbrela zielona, z pod umbrelki dobywał się od niej jeszcze dłuższy nos, dwoma ciemno-błękitnymi okularami obarczony, a niżej dłuższa jeszcze wysuwała się broda, coraz bliżej z długim nosem sąsiadująca. Wszystko to ożywiało dwoje niewielkich, siwych oczu z niespokojnym, czyhającym i świdrującym wzrokiem. Wzrok ten tym razem wyteżony był także ku zielonej górze z monasterem. Prawdziwie ten długonosy i długobrody staruszek z swym

wózkiem i koniem, dążący okiem i myślą ku zielonej górze, to istna parodia naszego młodego Eugeniusza. Ileż to razy na drodze naszych usiłowań i dążeń spotykamy się z podobnemi parodyami, idącemi z nami na wyścigi!...

I trzeci podróżny w tę samą dążył stronę. Był nim młodzieniec także, i także na koniu. Jechał ostrożnie pomiędzy krzakami, oglądając się na wszystkie strony, a ciągle patrzył również ku zielonej górze. I koń i jeździec różnili się wielce od naszego Eugeniusza i dzielnego siwosza.

Był to po prostu jakiś małomiejski elegant na leniwym broniaku. W dalsze nie będziemy się wdawać opisy. Wszak spotkamy ich jeszcze wszystkich. Bo w tej chwili najważniejsza, by się dowiedzieć, dokąd wszyscy trzej dążą. A wkrótce się dowiemy przecie, bo w końcu muszą się zjechać w jednym miejscu, gdyż im bliżej do góry z monasterem, tem więcej ścieśnia się dolina i kończy wreszcie u stóp góry, do której dążą wszystkie boczne drożyny i zlewają się w bity gościniec, popod górę wiodący. A tam pod górą jest gajk jeszcze, koło niego stara jakaś pasieka, i na małym wzgórzu kapliczka kamienna, staremi lipami ociëniona, sławną w całej okolicy z cudownego obrazu Przenajświętszej Panny, u którego przed wiekami fundowana goreje lampa.

Przy kapliczce, o lipę oparty i jej konarami rozłożystymi osłonięty, stał żebrak, w zwykłym, płóciennym, obdartym stroju, z dwoma wercianemi torbami, przez plecy na krzyż zawieszonemi, i z wielkim, sękatym kijem w ręku. Na jego pociągłej i śniadej twarzy nie widać ani nędzy, ani wieku, tych dwóch, zdaje się, koniecznych

znamion żebrzącego dziada. Nędzy nie poznać po czerstwych licach, a wiek trudno odgadnąć po twarzy gładkiej, ledwie tu i owdzie rudawym włosem porastającej. A chociaż pod oczyma mnogie krzyżują się zmarszczki, oczy natomiast, zyzem trochę patrzące, pełne są jeszcze ognia, śmiałości i przebiegłości młodej. Nie lada kto zajrzy w te jego oczy, bo, gdy żebrze po drodze, lub przejeżdżającego zatrzymać chce swym piskliwym i zawodzącym śpiewem, natenczas są one w ziemię spuszczone, lub tak mocno w niebo zwrócone, że ledwie ich białka ujrzeć można.

Lecz w tej chwili nie myślał on o żebraniu, i nie było w bliskości nikogo, do kogoby się o nią mógł udać. I w tej chwili nie miał w swej postawie pokory żebraczej, ani też w oczach błagającego spojrzenia. Wzrok jego, naprzód ku dolinie wyteżony, był pełen zuchwalej i drwiącej buty. On był teraz nie żebrakiem, ale sobą samym. Nagle uśmiech wystąpił na twarz jego: spostrzegł obu jeźdźców, bo pagórek z kaplicą nad całą prawie panował okolicą. Był to uśmiech szyderczej litości, gdy patrzył na eleganta, nadludzkie robiącego wysiłki ręką, kijem i giestami, by leniwego broniaka do szybszego napedzić biegu.

— Kudy jemu! — mruknął sam do siebie. — Zastanie już miejsce zajęte. Tamten go uprzedzi.

I uśmiech jego przybrał wyraz dumy niejakiej, gdy się zwrócił do jadącego na koniu Eugeniusza.

Lecz nagle zniknął uśmiech z twarzy żebraka. W tej chwili dostrzegł wózecek, wynurzający się z krzaczastej drogi i wdrapujący się pomалу na wyniosłość piaszczystą.

Wyraz niezwyklej ciekawości wystąpił na twarz jego. Zdawał się zapominać o dwu jeźdźcach, z niespokojnem zdziwieniem śledził wszystkie ruchy staruszka, jadącego wózkiem.

Eugeniusz tymczasem kilku przyspieszonymi skokami dzielnego siwosza stanął już nad brzegiem rzeki. I chociaż już o kilkanaście kroków dalej był most przez gościniec wiodący, konia nie zwrócił ku niemu, rzekę nie nazbyt wielką przebył wplaw, i mijając cwałem krzaczki i wzgórze z kaplicą, popędził ku wspomnianej już, starej, opuszczonej pasiece, przypierającej do zielonego gaju, u stóp góry rozłożonego. W tejże samej chwili spostrzegli go obcy jadący: starzec na wózku i młodzieniec na koniu. Na ten widok zatrzymali się obaj, i po chwili wątpliwości jechali dalej, ale coraz wolniej i niepewniej, oglądając się ostrożnie za naszym bohaterem.

Pasieka, do której wjechał Eugeniusz, przeskoczywszy stary i do połowy zasypany już rów, który ją otaczał, była już od dawna opuszczona. Nazywano ją pasieką dlatego, że przed laty kilkunastu próbował jej właściciel założyć tam pasiekę, lecz gdy się to nie powiodło, miejsce to zostało bezużytecznem pustkowiem. Lud okoliczny twierdzi, że się tam żaden pasiecznik utrzymać nie mógł dla przyczyn nadprzyrodzonych. Dziwne o tem miejscu biegały pomiędzy ludem wieści, częstokroć sprzeczne między sobą, jak to zwykle bywa w tych ludowych gadkach, ubieranych w coraz nowe szczegóły.

Jedni twierdzili, że tam był kiedyś stary zamek, drudzy utrzymywali, że tam stała karczma. I jedni i dru-

dzy opierali zdania swoje na jakimś murowanem zwalisku, którego ślady sterczały z pod bujnego zielska. Był nawet ułam muru wyżej nieco sterczący, sklepiony, w którym jedni poznawali wniście do karczemnej piwnicy, drudzy zaś odgadywali podziemne zamku sklepienie. Według jednych, pokutowała w tem sklepieniu dusza pana zamkowego, według drugich odbywała tam północne tany dusza karczmarza. Obie gadki w tem się zgadzały, że czy to była dusza szlachcica, czy Żyda, pokutowała ona za srogie grzechy za życia popełnione. A okropne miały to być grzechy, między którymi pierwsze zajmowały miejsce rozboje i łupiestwa, popełnione na podróżnych, szukających płatnej czy daremnej gościnności w tej niegdyś karczmie czy zamku. Dziekan, mieszkający w miasteczku, lubiący szperać w starych szpargałach, utrzymywał, że obie gadki z jednego pochodziły źródła. Przed laty bowiem zwaliska te miały służyć opryszkom, z gór przechodzącym czasem na dolinę, za chwilowe schronienie i kryjówkę na złupione pieniądze i sprzęty. Ile w tem wszystkim było prawdy, nikt dobrze nie wiedział, ale zawsze to było pewne, iż to miejsce było złowrogie, i żaden wieśniak w nocy nie byłby poszedł do starej pasieki za żadne pieniądze. Dziwa bowiem mówiono o widmach białych i duchach ogniem ziejących, które się tam samotnym wędrownikom pokazywały i rozmaite czyniły psoty. Wszakże niedawno jeszcze znaleziono w rowie znanego w okolicy wieśniaka ze złamaną nogą, i nikomu na myśl nie przyszło uwierzyć w tę prostą przyczynę, że Semen Wasyleczuk wracał pijany z jarmarku. Miejsce to nie miało zresztą nic szczególnego.

Zwaliska zielskiem zarosłe otaczały drzewa, w pew-

nym porządku posadzone, po większej części stare, napół spróchniałe i przez wiek powyginane. Eugeniusz od niejakiego czasu często przyjeżdżał do tej pasieki, czy wiedziony romantycznymi o niej gadkami, czy inną przyczyną, zaraz się dowiemy. Widok z pasieki, stojącej na wyniosłości, był bardzo piękny, z jednej bowiem strony widać było całą dolinę z płynącą po niej rzeką, a po drugiej stronie wznosiła się góra w tem właśnie miejscu najpiękniejsza. Cały bowiem jej bok wyglądał jakby ogromny sad, który gdy na wiosnę zakwitł, góra z tej strony stała się podobna do olbrzymiego kosza kwiatów. Były to rzeczywiście sady, po części do monasteru należące, po części zaś do chat wieśniaczych, które nikły w gęstwinie drzew, zdradzane czasem tylko siwawym dymem, jak obłok wznoszącym się ponad stromej góry ścianę. W pół góry prawie sterczała wielka płyta kamienna, jakby naumyślnie wysunięta, by z niej łatwiej można było się czarownej przypatrzeć okolicy. Z pod tej płyty wytryskał źródło mały, który, srebrną potokiem wstęgą mrużące nucąc pieśni, spadał na łotok młyna, i dalej po kwiecistej poigraszony murawie, do znajomej już nam wpadał rzeki. Nad samą płytą rozciągał się majestatyczny dach rozłożystej, kilka wieków pamiętającej lipy.

Eugeniusz zeskokczył z konia, zarzucił cugle na wystający konar jakiś i, stanawszy nad samym rowu brzegiem, podniósł oczy w górę po kamiennej płycie. Oczy młodzieńca drżały ogniem natchnienia. I w tej chwili mignęło coś białego z poza starej lipy, a na płycie kamiennej pojawiła się postać, godna zaiste, aby dla jej widzenia przebyć codzien paromilową przestrzeń i do

złowrogiej nawet zajechać pasieki. Była to młoda i wysmukła dziewczyna w bardzo skromnej, ale białej jak śnieg, sukience płócienkowej. Stroiły ją za to wdzięki niepospolitej urody i czarującego wyrazu.

Szczególny urok młodości, świeżości i niewinności rozlany był na tej twarzyczce, na której nie wiedzieć co było więcej podziwiać: czy ten dołek uśmiechu koło ust, czy tę mgłę zamyślenia jakiegoś na czole. Sama blondynka, oczy miała niebieskie jak niebo najpogodniejsze, a takie poczciwe, takie szczere, tak jasno patrzące, że mimowolnie chwytały za serce. I ta sama naiwna serdeczność rozlana była na białej twarzyczce, której rysy przypominały obrazki świętych aniołków. Włosy jasne i bujne na głowie, połyskujące w promieniach słonecznych odcieniem złota, wydawały się jakby wieniec promienny nad świętych głowami. Cały urok wiosny życia, wiosny myśli, wiosny uczuć rozlany był na tej twarzyczce tak cudnej, że o niej marzyć a marzyć lubo, patrzeć nigdy dosyć, a patrzeć niebezpiecznie.

Doznawał tego Eugeniusz, który od dni kilkunastu pędził dwie mile dlatego tylko, aby przez chwil kilka popatrzeć na to zjawisko urocze, a potem resztę dnia przemarzyć o niej. Ledwie wiedział, kto ona jest, ale to dobrze wiedział, że jest piękniejsza od jego najpiękniejszych marzeń młodzieńczych. A więc ta poezya, co od tak dawna istniała w jego piersi, nie była złudzeniem, jak zimni twierdzą niedowiarkowie? Nie była niem, kiedy można jeszcze spotkać na tej ziemi, na tem nieba wygnaniu, coś tak pięknego, co przemawia do wszystkich władz duszy, do wszystkich serca uczuć, spotkać, podziwiać i...

kochać! Szczęśliwy Eugeniusz! on ją kochał już, kochał tą miłością, jaką się raz tylko kocha, bo raz się jest tylko młodym, raz tylko krótko można patrzeć z wysokości swych najcudniejszych złudzeń, raz tylko jeden ma się wiarę i nadzieję, a te dwa najpiękniejsze złudzenia młodości gdy znikną, te dwa anioły stróże gdy odleca, te dwa wiosenne kwiaty gdy opadną, cóż po tych miłościach późniejszych?... To liście jesienne!... zwiedły liście kwiatów wiosnianych. Przyciskasz je do serca!... a liście zimne i serce!... przyciskasz do ust, a liście i usta chłodne!... Westchniesz tylko, odrzucisz zwiedły listek i szukasz innego... szukasz aż do grobu. Taką pierwszą miłością poety kochał Eugeniusz nieznaną dziewczynę.

I ona go nie знаła zupełnie, ale gdy raz pierwszy przypadkiem spotkały się ich spojrzenia, dziewczyna przychodziła codziennie na płytę kamienną i codziennie patrzyła na ślicznego młodzieńca. Bo nie przyjść, nie patrzeć, jużby nie mogła. Dlaczego?... Pytaj, dlaczego skowronek w niebo wlatuje, śpiewając serdeczny hymn wesela. Słowa do siebie nie przemówili jeszcze, ale z jej oczu niebieskich, z jego oczu czarnych tryskające promienie spotkały się tam gdzieś w czystym powietrzu pod niebem pogodnym, i tajemniczym sposobem utworzyła się ta nić elektryczna, po której biegają tam i nazad wszystkie myśli i wszystkie uczucia, jaśniej nawzajem rozumiane od najwymowniejszego słowa. Szczęśliwi, oni dotąd mówili do siebie wzrokiem, bez słów!... to język prawdy, a język prawdy tryska prosto z serca!... Słowa! piękne słowa!... ileż z wami rodzi się już ziemskiej prawdziwie obłudy!...

Trzeba być młodym, aby zrozumieć rozkosz takiej cichej rozmowy oka z okiem, której żadne słowo wiernie oddać nie zdoła. W wieku młodym słowo nie sprosta uczuciom, a w starszym jakże przeciwnie!... Bójąc się, by każde nie zdradziło nas słowo, chcielibyśmy każdemu ująć połowę znaczenia.

I dzisiaj, jak wczoraj, jak kiedyś, patrzą na siebie Eugeniusz i młoda dziewczyna, patrzą i nasycić się własnym widokiem nie mogą. A choć tak bliska dzieli ich przestrzeń, i za chwil parę mogliby przebiec tę ścieżkę, co się tam widocznie wije z góry ku strumykowi i pasiece, ani im to na myśl dotąd nie przyszło. A tak rozumieją się doskonale, że każda zdaje się myśl staje się im wzajemną i odbija się to uśmiechem, to westchnieniem, to błyszczącą na rzesach łzą tęsknoty.

Dziewczynie zdało się w tej chwili, że słyszy za sobą stapanie jakiegoś. Ledwie lekki niepokój zamglil błękitne oko, już Eugeniusz usunął się za starą, napół uschlą gruszę.

Musiała się omylić, bo nowy a tak serdeczny i pusty razem zawitał uśmiech na twarzy dziewiczej, że tym razem młodzieniec nie mógł wytrzymać dłużej i wyciągnął ku niej ramiona, jakby ją chciał objąć i przytulić do siebie. Dziewczyna zarumieniła się. Było-li to ze wstydu, czy z radości? Któż odgadnie pierwsze niewinnego serca wrażenia? Dwie łzy rozczulenia, dwie najdroższe perły, pogardzane i wyśmiewane przez zimnych ludzi z sercem w kieszeni, zaiskrzyły się ku sobie.

Tymczasem ozwał się bliżej tentent konia. To młody elegant zbliżał się powoli do pasieki, z wyciągniętą szyją

i długim a śpiczastym nosem; snać chce co wysledzić czy zwietrzyć... Wtem ozwał się piskliwy, żalсны, zawodzący głos z pod kapliczki. To żebrak w imię św. Mikołaja i wszystkich świętych błaga o jałmużnę. Zatrzymał się jeździec, komicznie skrzywiony, jakby lekarstwa zażył.

— Paneńku! serdeńku!... — monotonnym głosem śpiewał żebrak. — Ulitujcie się nad biedakiem w imię św. Mikołaja i Panny, Przenajświętszej. A Bóg najwyższy niech was prowadzi szczęśliwie w waszych wszystkich zamysłach!

Wyraz szyderyczy strzelił z oczu żebraka przy tych ostatnich słowach. I słusznie, bo młody jeździec nad to życzenie, wolałby zapewne, by mu teraz nie stawał w drodze. Jakiegokolwiek mogły być powody jego, dla których nie chciał świadka, zrozumiałwszy, że daremna dzisiejsza jazda jego, jeszcze się gorzej skrzywił, i zwrócił konia, mrużąc pod nosem niezbyt eleganckie przekleństwa, między którymi żebrak, który miał równie dobre ucho jak i oko, zasłyszal:

— Poczekaj, drabie!... pokażesz ty się w miasteczku!...

— Panoczku! luboczku! — śpiewał za nim coraz piskliwiej, a szyderyczym wzrokiem, jeżeli nie palcami, zdawał się figę za nim wystawiać.

Przez ten czas stary jegomość w umbrelu, ujrzawszy długiego jeźdźca, zwrócił w krzaki konika, który, chwytając liście leszczyny, zarżał do pana swego przez wdzięczność. Skrzywił się stary, zlął z dryndulki i trzęsąciami się od starości rękoma zaczął niby poprawiać koło wiecznie potarganego chomąta. Chwil kilka stał tak, szpe-

rające rzucając spojrzenia ku pasiece, lecz gdy doszedł go głos piskliwy żebraka, zatrząsł głową mocniej jeszcze, niż zwyczajnie, i zwróciwszy kulawego konia, pomknął nazad drożyną, do miasteczka Niżyniec wiodącą.

Żebrak przez cały czas swoich piskliwych trenów nie tracił wszakże starego z oka, w którym odbijał się wyraz dziwnej, pożądlivej ciekawości. Śledząc go, rzecz można, jednym okiem, drugim spoglądał nieraz to ku pasiece, to ku płycie kamiennej w pół góry, którą wraz ze stojącą na niej dziewczyną mógł widzieć, sam ukryty przez liście lipy, pod którą stał... Nagle obrócił się i wszedł do pasieki.

Młodzi ludzie patrzyli ciągle na siebie. Oniby tak całe życie przepędzić chcieli. Ani słyszeli nawet głosu żebraka, lub może przemknął im koło ucha jaki głos ptaszka przelatującego.

— Paniczu! paniczu! — usłyszał wreszcie Eugeniusz tuż nad uchem.

Żebrak stał koło niego i kiwał palcem, by się cofnął. Młodzieniec rozmarzony nie rozumiał znaków jego.

— Stary nasz! — rzekł do niego żebrak, okiem i palcem wskazując kamienną płytę.

— Stary? — pytającym głosem powtórzył młodzieniec, ale mimowolnie cofnął się znowu za starą gruszkę. Zanim żebrak odpowiedział, odpowiedź stanęła widomie przed okiem Eugeniusza. Z poza starej lipy nad płytą wyszedł starzec siwy, jak gołąb, i stanął koło dziewczyny. Sliczny to i malowniczy był obrazek. Staruszek, miarkując po sukni, był prostym chłopkiem, a nawet żebrakiem, jak tego zdawała się dowodzić wielka torba,

przez plecy zawieszona. Mimo to wyraz jego twarzy był pełen takiej szlachetności i powagi, że mimowolnie wzbudził zdumienie i poszanowanie nawet. Włosy miał długie, a białe jak najbielszy śnieg. Taką samą miał brodę, która mu spadała po pas prawie. Rysy jego twarzy pociągłej i bladawej były regularne i spokojne; najwięcej wszakże uderzała w tej twarzy pewna nieruchomość wyrazu, której udzielały jej oczy, wszelkiej barwy pozbawione, a tak szeroko i nieruchomie rozwartę, jakby spoglądały z głowy posagu.

— Nie trzeba, by on wiedział! — szepnął żebrak do Eugeniusza.

— Ależ on ślepy! — odrzekł Eugeniusz z roztrągnięciem.

— Lepiej on wszystko wie i widzi od niejednego, co ma oczy żywe, wokoło biegające. A i tak dziś tu już panicza widziano.

— Kto taki?

— A ten z miasteczka!...

— Był znowu? I nie powiedziałeś mi! — dodał z wybuchem gwałtowności. — Jużby, pewnie więcej nie wrócił...

— Cyt, paniczu! stary słucha!

— Haniu! to ty, moje dziecko? — przemówił stary do dziewczyny, którą Bóg wie jakim odgadł sposobem.

Głos starca był słodki, ale znać w nim było odźwięk niepospolitej siły. Głos ten w potrzebie mógł być groźnym i rozkazującym.

— Hania! Hania! — zawołał Eugeniusz, i serce jego zadrżało uczuciem, pełnem nowej jakiejś rozkoszy.



— Haniu! To ty, moje dziecko? — przemówił stary.

On wiedział już, jak ta śliczna dziewczyna nazywa się.

— To ja, dziadku! — odpowiedziała dziewczyna.

Aż piersi ręką przycisnął młodzieniec, tak mu się serce tłukło. On po raz pierwszy usłyszał głos jasnookiej dziewczyny. A jak wydał mu się dźwięcznym i śpiewnym, ten tylko odgadnie, kto potrafi przypomnieć sobie dźwięk zaczarowany głosu pierwszej kochanki.

Siwy staruszek tymczasem silną jeszcze wyciągnął rękę, i, jakby się chcąc przekonać, położył ją na jasnej główce, i dłuższą przytrzymał chwilę, a twarz jego wypiękniła jeszcze wyrazem ojcowskiego prawie uczucia.

Był to w swoim rodzaju obraz pełen rzewnej prostoty i dlatego samego pełen prawdziwej piękności. Stojąc na płycie, jakby w powietrzu zawieszeni, uwieńczeni świeżą zielonością góry, dwa śliczne typy wiosny i zimy życia: starzec z twarzą świętego proroka, dziewczica z twarzą aniołka.

Uczuła tę piękność poetyczna naszego młodzieńca dusza. Po raz pierwszy przemknęła mu myśl o cudownej pędzla sztuce.

— Chodźmy, paniczu!

Jak ze snu zbudzony, poszedł Eugeniusz za żebrakiem. Starzec i dziewczyna znikli w cieniu starej lipy.

— I on tu codzień przyjeżdża, ten przekłety — przemówił nagle, przypominając sobie słowa dawniejsze żebraka.

— Codzień prawie!... ale ja go pilnuję...

— Codzień!... — powtórzył Eugeniusz — a ja nie mogę... być codzień... co chwila! — mówił dalej z roz-



targnieniem. — I kiedyż? — dodał po chwili, zwracając się do żebraka — kiedyż?... Przyrzekłeś!

— I dlatego czekałem na was, paniczu... Jeżeli chcecie zawsze?

— Chcę! — odrzekł Eugeniusz stanowczo.

— Będziecie, paniczu, pozajutrze w miasteczku?

— Będę.

— I ja będę, paniczu... i wszystko będzie gotowe, ja wam mówiłem... Ale rozważcie jeszcze!...

— Już wszystko rozważone. Lepiej nie żyć, niż tak żyć, jak żyję — odrzekł szybko, wskoczył na konia i, ręką pożegnawszy żebraka, popędził cwałem ku domowi.

Żebrek spojrział za nim z wyrazem, któregooby po tej twarzy spodziewać się nie można było. W tym wyrazie było uczucie nawet. Wnet wszakże i wyraz i wzrok jego zmienił się; rzucił okiem wzdłuż drożyny, wiodącej do miasteczka. Dojrzał jeszcze wózek, toczący się leniwie po piaszczystej drodze.

— Ale ten stary z miasta — mruczał do siebie — co ten tu chciał... tu, w pasiece?... Jego to pasieka... ale cóż on chciał w niej robić?... tu! tu! — powtórzył razy kilka i, głęboko zadumany, poszedł ścieżką pod górę.

Stary jegomość w okularach przy samym wjeździe do miasteczka, gdy już droga z krzaków na równinę wyszła, zjechał się z młodym elegantem na koniu.

Obaj, skłoniwszy się nawzajem, spojrzeli ze zdziwieniem po sobie. Zdziwienie było skutkiem ciekawości, tej najgorętszej namiętności i najnieubłagańskiej choroby małych miasteczek.

— A, pan prezes dobrodziej! — zawołał młodzieniec,

dla kontenansu wyciągając półokciowe, a dobrze wykrochmalone kołnierzyki.

— A, pan sędzia! — odrzekł stary, pocierając jednym zamachem końce brody i nosa.

Panem prezesem był stary pensyonowany, prowizoryczny burmistrz w małej jakiejś mieścinie.

Panem sędzią był aktuaryusz Szpiegowski, wiszący przy mandataryuszu niżynieckim.

Trzeba wiedzieć, że w małych miasteczkach ludzie nie głupi. Dbają o tytuły, jakby po najpierwszych salonach stołecznych.

— Zapewne z przechadzki wraca pan prezes?

— A tak! — wyjąknął stary. — A pan sędzia?

— Także z przechadzki.

I pojechali dalej, szyderczym pożegnawszy się uśmiechem. Obadwaj nie wierzyli sobie i lamali głowy, by dojsć powodów tej wycieczki rannej.





III.

**Przedbalowe zachody.**

Przeniesiemy się teraz do Łypkowiec, wsi, jak już wiemy, pana Piotra Glinieckiego, do którego pan Ignacy Wyżyński wyprawiał swego syna. Łypkowce leżą w tej samej cudnie pięknej dolinie, ku Karpatom ciągnącej się, nad tym samym strumieniem-rzeczka, która dolinę przerzyna. Położenie wsi jest śliczne; wygląda ona z pomiędzy sadów swoich i mnóstwa wierzb nad rzeką, wzdłuż wspólnego pastwiska rozrzuconych, jak ogród prawdziwy. Wszystkie chaty, choć obdarte, tu i owdzie pochylone i bielone rzadko kiedy, mają pewien urok sielski, który zawdzięczają otaczającej je zieloności. Najbrzydszy w całej wsi jest dwór; postawiony bowiem na wyniesionym nieco za wsią wygonie suchym i jałowym, otoczony zewsząd budynkami dworskimi, po większej części lepionymi, wygląda ze środka stajen, krowiarni, szopek i gumien smutno i nago. W całej dworskiej zagrodzie nie znać ręki troskliwej, któraby siedlisko dziedziczne całej rodziny upiększyć chciała. Wszystko,

co tam stoi, postawione zdaje się dla samej konieczności, dla ekonomicznego pożytku, a nie dla pewnej symetrii, dla użytku myśli, duszy i serca. Gdy się rzuci okiem na dwór, mimowolnie przyjść musi na myśl, że człowiek, który tam mieszka, musi mieć duszę równie suchą i martwą, jak ta jego siedziba. Poznać zaraz gospodarza tylko i nie więcej, i to gospodarza bez wszelkiej wyższej myśli, który z dnia na dzień żyje, by z dnia na dzień zbijać grosz do grosza, i tylko tyle z dnia na dzień stawia nowych budynków lub starych naprawia, ile ma ich potrzebę konieczną, na razie nieuniknioną. Choć jest za domem ogrodu gatunek, jest on po większej części warzywny tylko, bo w okolicy, gdzie owoce są ponad burakowe i kapuściane grzędy, stały samotne, skarłowaciałe i pokrzywione drzewa owocowe, które, troskliwej ręki pozbawione, zdziczały, i nie tylko brakiem owoców, ale i brakiem zieloności odwdzięczały się za brak troskliwości. Dwie tylko odwieczne grusze, które ogród oddzielały od szop gospodarskich, ożywiały całość tego obejścia. Lecz i one, dla uzupełnienia obrazu, posmutniały przez wiek, z niechęcią zdaje się naginały swe ogromne i zielone konary nad ogromną sadzawką i gnojówką, w której jedynie znać było wielką staranność i niemałe upodobanie p. Glinieckiego.

Przyjrząwszy się całości tego gospodarskiego obejścia, można było już mieć najdokładniejsze wyobrażenie o panu Piotrze. Był to jeden z tych parweniuszów majątkowych, którzy wychodzą Bóg wie skąd, dorabiają się majątku Bóg wie jak, i istne grzyby, na niwie społeczeństwa wyrosłe i wybudujące, żyją w wiecznym błocie, które dla nich jest tak koniecznym żywiołem, jak szeroki nieba

przestwór dla orłów, jak życie wygodniejsze i wykwiśniejsze dla wyższości społecznych, czy do nich z rodu czy z własnej myśli wyżej szybującej należą. Podobna niedbałość o wszelką strojność otaczającej człowieka skorpury jest niezaprzeczeniem znamieniem tego rodzaju parweniuszów, których nawet nie uszlachetnia ta, niektórym dorobkiewiczom właściwa, ryzykowność, która, choć do złota zastosowana, świadczy o pewnej energii. Piotr Gliniecki zebrał majątek swój grosz po groszu, przez najbrudniejsze skąpstwo, odmawiając sobie kawałka chleba nawet. W żadnej chwili swego gospodarskiego zawodu nie okazał on ducha przedsiębiorczego; starym trybem gospodarki idąc, znosząc niedostatek i głód, kosztem podwładnych, których obdzierał, głodził i okpiwał, przyszedł do fortuny, której nawet użyć nie umiał.

Lecz wejdźmy do wnętrza tego dworu. Była to także lepianka, kalenicą bezpieczniejszą niby od ognia pokryta. Jak z wierzchu te tylko dziury były zalepione, które się niby już bez tego obejść nie mogły, tak i w środkowym urządzeniu wszystko było ściśle wyrachowane, na czystą potrzebę tylko. Pod jednym dachem było i mieszkanie pańskie, z trzech pokoiów po jednej stronie złożone, była i kuchnia, piekarnia, i izba gospodarska na drugiej stronie; obie zaś strony dzielił korytarzyk ciemny, po którym smutnym i chromym krokiem przechadzał się jedyny domu tego zbytek, stary pies z głową i ogonem na dół zwieszonymi, z bokami aż do przezroczystości prawie zapadłymi. Był to niby stróż nocny, nie mający nic prócz stacyi gratisowej i protekcji bez pożywienia, który już nawet czekać nie potrafił, jeno czasem w noc księżycową smutnym i chrapliwym zawył

głosem. Taką samą oszczędność sprzętów uderzała w pomieszkaniu pańskim. W pierwszej izbie, która była i bawialnią i jadalnią i kancelaryą razem, prócz stołu na środku, kilku krzeseł drewnianych, szafki w rogu, służącej razem za biurko do pisania i skład akt ekonomicznych, była tylko jedna jeszcze sofa dziurawa, stoliczek przed nią politurowany przed laty, ledwie trzymający się na trzech nogach swoich, i ogromny zegar ścienny, popstrzony od much, z kukułką, która już od lat niepamiętnych nie kukała. Było wprawdzie i lustro, ale tylko do połowy szklane, bo drugą połowę, kiedyś tam wytłuczoną, zalepiono grubą bibułą, której szmaty przedarte smutno zwisały ku ziemi. Cóż powiedzieć o drugiej izbie, która była sypialnią pana Glinieckiego? Było tam nago i brudno, brudno i nago na tapczanie, za łóżko służącym, nago i brudno na ścianach, których jedyną ozdobą były poprzypierane do nich kufry, niegdyś na zielono lakierowane, i ławka prosta, drewniana, kilimkiem do połowy tylko zasłana, bo na drugiej połowie stały: miska wyszczerbiona i garnek gliniany z wodą, ale bez ucha. Nie więcej; gdyby choć obrazek jaki święty, bez którego najuboższa nie obejdzie się chata, świadcząca choć o jednym wyższym mieszkańców uczuciu. Pan Gliniecki nie wiem czy raz w życiu pomyślał o Bogu, który mu zupełnie nie był potrzebny, bo wiara żadnej nie mogła mu przynieść intraty. W kącie jednym zato był skład ogromny motków i worków wercianych, a w drugim rodzaj szuflady wysłużonej, z mnóstwem żelaziwa, rzemyczków i sznurków. Nad łóżkiem wisiał wielki, cebulowaty zegarek srebrny, ze stalowym łańcuszkiem, i o dziwo!... spoczywał na podstawce dość

świeżej, jedwabnej, pohaftowanej w floresy, tak podobne do bukietów, jak pięść do nosa. Był to prezent na wianowanie, dany ojcu przez córki. Bo pan Piotr miał dwie córki; żona umarła już dawno, i umarła, możnaby powiedzieć bez obmowy, z głodu. Te dwie córki mieszkały w ostatnim pokoju, w którym widać przecie było starszą ręką kobiecą. Ale trudno było go bardzo ustroić przy skąpstwie tatka, i zresztą był to właściwie alkierzyk tak maleńki, że się w nim ledwie mieściły dwa wazki łódeczka. Ale te były przynajmniej schludnie zasłane, i z pomiędzy nich świeciło się lusterko, i parę kubeczków szklanych, nad okienkiem były firaneczki białe, i w okienku stało parę wazoników z geranium i bazylikonem.

Panny Glinieckie zwały się Frania i Marysia. Frania była brunetka, dosyć żywa i fertyczna, z noskiem zadartym i oczkiem zanadto ciekawem na jej latek siedmnaście. Marysia była blondynka, z rysami regularnymi, ładnymi nawet, i oczkami fiołkowemi, które krasila sześćnastoletnia skromność, a szpecił wyraz ciąglej, gapowatej nieco, ciekawości. Obie biedaczki strasznie mało miały wychowania, chociaż nie zbywało im na dobrych chęciach i pewnych nawet przeczuciach o czemś lepszym i piękniejszym nad kochanego tatka i jego dom... Było to w nich może przypomnieniem matki, poczciwego stworzenia, przeznaczonego, Bóg wie dlaczego, na męczeństwo. Pani Gliniecka była córką poczciwych rodziców, urodzoną w domku szlacheckim, polskim, to też zanadto może serdecznym. Gdy została sierotą, pokazało się, że były długie, pozaciągane po większej części na przyjomowanie braci szlachty. Aby je zaspokoić, trzeba by-

ło wioszczyne sprzedac, a co gorzej, zaprzedać siebie samą w wieczną niewolę. Srogaż to była niewola dla dziecka szlacheckiego w domu pana Glinieckiego. Biedaczka, do lepszego przyzwyczajona życia, wiedła i wiedła, aż nareszcie umarła, wyplakawszy ostatnie łzy nad dwoma sierotkami, które pozostawić musiała.

Wracajmyż teraz do pierwszej izby, w której odbywa się właśnie głośna i żywa scena. Żywym krokiem chodzi po pokoju p. Gliniecki, w starym, połatanym, a mimo to podartym surducie z jakiegoś odwiecznego dreli-szku i z krótką drewnianą fajeczką w ustach. Fajeczki tej cały dzień z ust nie wypuszczał; był to jedyny zbytek, jakiego sobie pozwalał; prawda, że był to zbytek bardzo mierny, bo palił prosty, żołnierski tytuń, o którym twierdził, że jest najlepszy. I nareszcie tę rozrzutność tem tłómaczył przed samym sobą, że palenie fajki zastępuje miejsce jedzenia.

Pan Gliniecki był to sobie niewielki człowiek, chudy, żylasty, ale nadzwyczaj czupurny; ruchami wszystkimi przypominał zawziętego ekonomę, przyzwyczajonego przez samo już powołanie do wielkiej ruchliwości. Oczy miał piwne, na wierzchu osadzone, biegające wokół z wyrazem niespokojnej i wszystko szpiegować żądnej ciekawości; na głowie zaś o nizkiem i pomarszczonem czole miał włosy ciemne jeszcze, mimo lat pięćdziesięciu z okładem, krótko ucięte i sterczące, a najeżone do góry, jakby istna szczecina, takąż samą szczecinę miał na ustach w postaci wąsów, które już szpakowaciec zaczynały, i szczecinę na czternastodniowej brodzie; bo, jak twierdził, golenie niszczy brzytwy, czyli raczej jedną brzytwę, jaką miał od lat kilkunastu, i która długolet-

nim użytkiem zwięziona, groziła lada chwila zupełnem zniknięciem. Dodajmy do tego rysy twarzy, zaszuszonej, jak u mumii, kościste i ostrokatne, wieczną ogorzałością pokryte, a będziemy mieli wierzytelny konterfekt p. Glinieckiego, właściciela Łypkowiec z dwoma przysiołkami i gotówką znaczną, którą zbierał do kufrów, w stare szmaty zawiniętą, bo się bał jej użyć na jakiegokolwiek przedsięwzięcie.

Jak mówiliśmy tedy, pan Piotr biegał po izbie, okalając środkowy stół w biegu swoim, a robił to dlatego, że był ciągle goniony przez obie córki swoje, które z początku biegały za nim, aż nareszcie wzięły się na sposób i, rozszedłszy się w strony, zatrzymywały go to z jednej, to z drugiej stołu połowy. Odważniejsza, brunetka, najsilniej gonila i najwięcej nań nacierala...

— To nie może być inaczej! — mówiła do niego głosem piskliwym i rezolutnym.

— A tak, tatusiu, to nie może być inaczej! — powtarzała blondynka, zanadto nieśmiała, by była czem innem, jeno echem starszej siostry.

Za każdym ozwaniem się córek stary Gliniecki milczał uporeczywie, jakby go ich słowa nie dochodziły. Tyle tylko było różnicy, że przy słowach starszej zawzięcie spluwał, co zresztą mogło być skutkiem krótkiej fajeczki. Przy słowach zaś młodszej, spoglądał na nią z pod oka, z wyrazem rozczulenia, chociaż był niby w niem rodzaju wyrzutu.

— I ty na mnie! — zdawał się mówić ten wzrok jego.

Bo stary Gliniecki miał niezawodną słabość do Ma-

rysi, może właśnie dlatego, że ona przy swojej cielatkowatej nieśmiałości, nigdy nagabywać go nie śmiała. Niemalże się ona za to nasłuchiwała od starszej siostry.

— O, gdybym ja była na twojem miejscu—mówiła nieraz do niej — musiałby stary tak tańcować, jak ja mu zagram.

— Ja się bez złotego nie obejdę! — mówiła coraz piskliwiej Frania.

— A ja bez błękitnego! — powtarzała Marysia coraz potulniej, aż jej głos w płaczliwość prawie wpadał.

Dodajmy do opisu lepszego tej sceny, że obie panny Glinieckie były w najkompletniejszym negliżu, który jednak cechowały oznaki pewnej niezwyklej staranności. Obie były w koszulkach, lekko tylko pokrytych chusteczkami, którym codzienne używanie odebrało właściwą barwę; ale za to miały na sobie cały zbiór spódniczek, tak rzęsiście nakrochmalonych, że obie, niezbyt wielkim wzrostem obdarzone, wynurzały się z nich, jakby z balonów. Nie tylko w spódniczkach znać było jakąś nadzwyczajną staranność stroju, ale i na głowach, na których piętrzyły się warkocze, poukładane w zygzaki, nie koniecznie świadczące o wiadomościach fryzjerskich, ale za to dowodzące, że obie panny nie były bez genialnych conceptów w tej mierze. Bo prócz babilońskiego upiętrzenia i zagmatwania warkoczów, były jeszcze i inne upstrzenia w postaci loków jakichś, dobrze jajkiem nagumowanych, zakrętów włosianych i przepasek kolorowych i fontazjów pstrokatych. Na samych zaś wierzchołkach tych kapryśnych figłów unosiły się kokardy, których wielkość zdawała się naśladować amerykańskie czy au-

stralskie motyle. U Frani, jako brunetki, kokarda była żółta, u Maryni błękitna, więcej stosowna do jej jasnych włosów.

— Tatko chce, by się ze mnie śmiali! — mówiła dalej brunetka zaperzona. — To będzie wstyd dla tatka.

— I ze mnie śmiać się będą! — zawodziła blondynka.

— Ja na to nigdy nie pozwolę... wolę zostać w domu!...

— Zostać! — powtórzyła Marysia; ale to było nad jej siły i lzy, jak groch, potoczyły się jej po twarzy.

— Bez szalika na bal!... tegom nigdy nie słyszała!

— Bez szalika! ach!

— Musi być złoty, jak moja kokarda.

— Błękitny, jak moja!.

Stary wymykał się, jak mógł, to od jednej, to od drugiej, spluwał coraz częściej, okrywał się coraz mocniej śmierdzącą swego tytoniu mgłą, ale milczał uparcie.

— Pięknie będzie, jak my nie pojedziemy...

— Nie pojedziemy! — ledwie powtórzyła młodsza, bo głos jej przerywały łkania.

— A przecie tam będzie młody graf Eugeniusz...

— Młody!...

— Tatko sam mówił!... że on byłby dla mnie...

— Dla mnie!...

— Głupiaś! z ciebie jeszcze młody mazgaj!

— Ach! — westchnęła tylko biedna blondynka, bo już jej tchu brakowało z wielkiego płaczu.

Stary nic jeszcze nie odpowiadał, ale nagle zmieniwszy kierunek, wbiegł do sypialni. Obie panny za nim.

Prosto stanąwszy przed łóżkiem, wskazał im zegarek srebrny, który co do regularności swojej był wyrocznią całego domu.

— Już za późno!... za godzinę musimy jechać; a ja muszę jeszcze...

Tu z gestem, powagi pełnym, wskazał im stłuczoną miseczkę, na ławce postawioną, w której bielily się mydliny obok zczerniałej brzytwy.

— To wybieg!... posłaniec na koniu do Niżyniec!...

— Na koniu, tatku!

— Posłaniec na koniu! — zawołał stary, zdziwiony i zgorzonym głosem — posłaniec za szalikami!

I splunął potężnie.

— Do Srula Feigele! — westchnęła Marysia.

— Już za późno — odrzekł ojciec, wracając do dawnego wybiegu.

— A gdyby nie było późno?

— No! to nie mówię...

Na to siostry nic już nie odpowiedziały, jeno pobiegly do okna, wychodzącego na dziedziniec. Po chwili milczenia klasnęły w dłonie i zwróciły się ku drzwiom wchodowym. Jakoż te wkrótce się otworzyły, i wszedł przez nie znany już nam Srul Feigele, z ogromnym pakietem pod pachą.

— Kłaniam państwu! — wyrzekł Żydek uprzejmie daleko, niżeli w Wyżynicach, bo wielkie miał poszanowanie dla gotówki Glinieckiego.

— A ty co tu robisz? — zapytał Gliniecki, rzucając na Żyda przenikliwe spojrzenie. — Tylko co o tobie mowa była...

— Jaśnie pan wspomniał o mnie!... i ja też jaśnie pana...

— Ja nie wspominałem!... to moje córki!

— Aj waj! — cmoknął Żydek. — Jakie to śliczne! To to chłopcy w Niżynicach szaleć będą, a pierwszy młody graf...

— Tak myślisz? — odrzekł pan Piotr i twarz jego pokryła się nowymi zmarszczkami niby uśmiechu.

— Co tu masz, Srulku? — zapytała starsza panna, która aż tańcowała z niecierpliwością.

— Aha, Srulku, co masz tu? — powtórzyła młodsza I obie porwały za pakiet, ciągnąc go ku sobie.

— Ja tu przywiózł różne rarytne rzeczy, co się mogą zdać teraz na bal, do państwa Krajkowskiego. Byłem w sąsiedztwach i bardzo wiele sprzedałem, bo wszyscy chcą się stroić teraz.

— A masz ty szaliki? — zawołały obie panny razem i mrugnęły na Żyda.

— Aj waj! jabym nie miał mieć szalików? Jak nie ma szalika, to nie panna!

— A jakiego też masz koloru?

— Mam żółty, jak dukat, mam niebieski, jak farbka

— Tatku! przyrzekłeś!

— Tatku! serce!

Stary spojrział na córki wzrokiem podejrzliwym, i strasznie zaczął czuba pocierać.

— Tfu!... nie lubię tego!... tfu!... to jakieś intrygi..

— Bardzo ładne! przepyszne szaliki! echt neuer mod

— Tatku!

— Kochany!

— Wszystkie panny od Krajzkowskich pokupowały szaliki, aby się podobać grafowi Eugeniuszowi, który bardzo dba o modę szalików.

— Ale to musi być drogie! — przemówił ojciec, ostatnim argumentem widocznie zwalczony.

— Achesmir! dla wielmożnego pana Srul o trzydzieści procentów taniej wszystko spuści.

— No, tатku! już późno!

— Późno, kochany tатku!

— Ale ja nie mam gotówki!

— A na co Srulowi gotówki? Srul od wielmożnego pana weźmie zboża albo wełnę.

Jednem słowem, zmiękł do reszty pan Gliniecki, i chociaż przekonany o znowie Żyda z córkami, kazał wydobyć zapowiedziane szaliki.

Żyd wyjął je z wielką uroczystością i wypuścił na wiatr, jak dwie bandery.

— Pikies Małachowskies! — powtarzał i cmokał do tego na całą gębę.

Panny oniemiały z radości i podziwienia, chociaż po prawdzie nie było ani czego się cieszyć, ani podziwiać. Szaliki były już przenoszone, z barwami wypłowiałemi, w gatunku lichym, jeden barwy brudno szafranowej, a drugi sinawobrudnej. Ale za to miały jedną wielką zaletę: były niepospolicie długie i szerokie, i rzęsiste miały frenzle. I czyż można się dziwić uciesze biednych dziewcząt, które tak mało dotąd posiadały strojów? Nastąpiła tedy chwila milczenia, którą przerwał nagle wrzask głosów na raz mówiących. Bo i Żyd krzychał, wychwalając swój towar pod niebiosa, i ojciec krzychał, ganiąc go,



Panny wrzasnęły przeraźliwie, przypomniawszy sobie swój negliż.



by mu taniej wypadł, i panny krzyczały na wyścigi z radości, podskakując i klaszcząc w ręce. Taki był hałas, że nikt z obecnych nie słyszał turkotu zajeżdżającego powozu. A najgorzej, bo nowoprzybyły, ktokolwiek nim był, musiałby w tej chwili dom pana Glinieckiego wziąć za dom waryatów. Nowoprzybyłym był nasz pan Eugeniusz, który, dogadzając życzeniu ojcowskiemu, jadąc do Nizyniec, wstąpił do Łypkowiec. Dopiero gdy się drzwi otworzyły i młody nasz bohater wszedł na próg, spostrzegli go wszyscy, z czego, jak się każdy domyśli, większe jeszcze powstało zamieszanie.

Panny wrzasnęły przeraźliwie, przypomniawszy sobie swój negliż, i tak się przestraszyły, że, nie wiedząc co czynić, stanęły jak wryte.

— Ach! ach! — krzyczały ciągle.

I zarumieniły się bardzo, na czem twarze ich zyskać tylko mogły, ale nie więcej od Eugeniusza, który się zmieszał na widok ogólnego popłochu. Stary Gliniecki zaś to się za nieogoloną porywał brodę, to za stary szarpał surdut, a między jednym a drugim sypał młodemu gościowi najuniżeńsze ukłony, powtarzając ciągle:

— Pan graf Eugeniusz!... przepraszam... to zaszczyt dla mnie! ale brodę miałem właśnie golić!

Najwięcej przytomności miał, oczywiście, Srul Feigele, który nie bez szyderstwa patrzył na tę scenę. On najlepiej z kłopotu wybawił zawstydzone panny, pokrywając zbyteczny ich negliż swoimi szalikami.

— To moje córki!... przepraszam za brodę! — mówił gospodarz, coraz więcej rozradowany przybyciem tak zacnego i pożądanego gościa. Bo, jak to wiemy od pana

Srula, nie byłby on od tego, żeby córkę jedną wydać za grafa. Dziwny to jest, śmieszny, ale zwykły i wszystkim prawie ludziom podobnego rodzaju wspólny narów! Jak się dorobią fortuny, zachciewa im się tytułowych zaszczytów, i nieraz zobaczyć to można, jak najskąpsi i najchciwsi nagle za okno prawie wyrzucają pieniądze i najnieprawdopodobniejsze wyprawiają rzeczy, ryzykując nawet to własne, tak ukochane mienie, byle się zarystokratyzować.

— Bardzo przepraszam, zaraz się ogolę... To Frania i Marysia!... No, kłaniajcież się panu grafowi.

Te słowa oczarowały mocno przestraszone dziewczęta, które, drapując się w swoje szaliki, zaczęły dygać jak najzawzięciej.

Biedny Eugeniusz był jak na mękach, tak mu się wstrętnem wydawało to aż do obrzydliwości prozaiczne towarzystwo. A na nieszczęście był za młody, zanadto poeta i za mało doświadczony, by się nawet mógł zdobyć na parę słów, zdolnych skończyć tę dla wszystkich niemiłą scenę.

Srul, stary, szczwany lis, przyszedł i tu w pomoc.

— Jasny pan hrabia młody pewnie jedzie do Niżyniec na bal do państwa Krajkowskiego i wstąpił po drodze, aby poznać się z sąsiadami?

— Aby mieć przyjemność — wyjąknął wreszcie, darmo szukając w swojej głowie, poezyi pełnej, jakiegoś wyrazu stosownego do okoliczności. W tej mierze pan Eugeniusz niżej stał jeszcze od rodziny Glinieckich.

— A to ślicznie! to wybornie! — mówił pan Gliniecki.

— To ślicznie! to wybornie! — powtarzały panny, dygając, rumieniąc się i patrząc z pod oka na pięknego młodzieńca, który obydwom podobał się niesłychanie.

— Pojedziemy razem! — mówił pan Gliniecki i spojrział tryumfująco na Żyda, a panny przez okno, pod którem stał ładny koczyk z koroną hrabiowską.

— Razem! — powtórzyła Frania, rzucając na niego śmiałe spojrzenie swych czarnych oczu.

— Razem! — cichaczem, wzdychajacem echem powtórzyła Marysia, spuszczać w ziemię błękitne swe oczy, aż do zezu prawie wywrócone, by się młodemu arabiemu dobrze przypatrzeć.

Młody hrabia tymczasem wzdychał i na drzwi się oglądał, życząc sobie, aby jakim sposobem wymknąć się z tej łaźni.

— Zaraz się ogolimy!... to jest ja się ogolę, a moje córki ubiorą się!... — rzekł ojciec i pomknął do swojej izby, a za nim córeczki.

— Przepraszamy — ozwały się jeszcze za drzwiami wszystkie głosy. — Srulu, baw pana hrabiego.

Aż odetchnął młody hrabia, bo ze Srulem daleko łatwiej szła rozmowa. I nawet rozmowa ta zaintrygowała go niepomału, bo Żyd, jak zwyczajnie Żyd, ciekawy wszystkiego, wziął się do indagacyi. Jakoż zaraz zaczął od tego, że mu powiedział o wczorajszej jego jeździe konnej.

— Jasnego pana widzieli wczoraj, jak jechał tam, do tej czartowskiej pasieki. Zapewne jasny pan miał jaki interes. Ny! co to dziwnego!...

— Ja? Żadnego!... Ja tak na spacer...

— Aj waj! to daleki spacer! — odpowiedział Żyd z uśmiechem szyderczym — ale to wczoraj wszyscy jeździli na spacer... bo i ten nasz młody aktuaryusz, co to nosi kołnierzyki aż na uszach.

— Także na spacer? — zapytał Eugeniusz.

— Jak jasny hrabia! Młodszy ludzowie lubią spacerować. Ale, że staremu Wiciewiczowi zachciało się... to mnie bardzo ciekawo!

— Wszak on tam ma pasiekę...

— A prawda!... ta sama pasieka, co to naprzeciw dworku, gdzie mieszka Goździkiewicz... Jasny hrabia zna Goździkewicza.

— A tak!... wszak on był u nas — odrzekł młodzieniec zarumieniony.

— To fein człowiek!... a jakie ma feine dzieci!... to prawdziwy skarb!

Nagle uderzył się Żyd w głowę i mruknął coś niezrozumiałego pod nosem.

— Aj waj! to prawda!... to starego pasieka... tam, gdzie te stare mury... Ny! ny!

— Już pół twarzy ogoliłem! — ozwał się z drugiego pokoju wesóły płos pana Glinieckiego.

Po krótkiej chwili wyszedł pan Gliniecki w odwiecznym fraku jasno-niebieskim, o długich ogoniastych połach i jasnych małych guzikach.

I panny Glinieckie wnet się pojawiły w białych płóciennych sukienkach i w owych srulowskich szalikach. Nastąpiły nowe przywitania i dygi. Biedny Eugeniusz sam nie wiedział, co robić, by się wymknąć

jakim sposobem. Lecz stary Gliniecki ani myślał go puścić.

— Siadaj-no, panie hrabio!

— Jabym chciał pośpieszyć...

— Zaraz, zaraz pojedziemy, niech tymczasem konie odetchną. Siadaj pan! — mówił dalej, sadowiąc go gwałtem prawie na podartą sofę. — Bo, jak to mówią, dzieci mi spać nie będą.

— Spodziewam się! — przemówiła Frania — wszak będziemy całą noc tańczyć. Nieprawdaż, panie hrabio?... Pan lubisz tańczyć?

— Ach, tańczyć! — powtórzyła Marysia i spojrzała w powalę.

— Ja bardzo mało tańczę.

— Moje córki pana rozhułają.

— Ja niezgrabny do tańca — odrzekł Eugeniusz, przeklinając w duszy kaprys ojcowski.

— Jakoś to będzie! — zawołały obie siostry.

— Bo też moje dziewczęta niepospolite zuchy! — mówił pan Gliniecki wesóło i rubasznie. Jak wszyscy niemal dorobkiewiczze, lubił się chwalić wszystkim, co posiadał. Posiadanie jest u nich rzeczą najważniejszą; jakże się niem nie chwalić!

— Patrz pan! czy nie tęgie dziewczki! co, nieprawda?

— A!... a!... — mruknął coś pod nosem zarumieniony po uszy młodzieniec.

— A i panu nie zbywa na urodzie. Taki czarnobrewy, jak moja Frania. Dalipan!... dobrana parka! Co mówisz, panie Feigele? — dodał, zacierając ręce.

100-12-5  
50000  
50000-12-12  
50000  
50000

— Co też tato mówi! — zawołała brunetka, przewracając oczyma, co miało niby zawstydzenie oznaczać.

— Tato! — ozwało się błękitne echo, z rodzajem wyrzutu.

— Co fein, to fein! — wmieszał się Srul, i cmoknął, jakby wychwalał jaki przedmiot jarmarczny.

— Już to powiem panu Eugeniuszowi... daruje pan mojej poufałości, aleś mi pan bardzo się podobał... z mojej Frani będzie bardzo dobra żona. Bo to, powiadam panu, gospodyni, jakich mało. Tamto także pocziwie, ale to jeszcze młode, to jeszcze dziecko prawie.

— Ja mam lat szesnaście! — ozwało się dziecko i zarumieniło się okropnie.

Sama pojąć nie mogła, jak się zdołała zdobyć na taką odwagę. Zamilkła nagle pod piorunującym siostry, a zadziwionem ojca spojrzeniem. Gliniecki dlatego tylko starszą chwalił córkę, że, przenosząc młodszą, tamtej byłby rad jak najprędzej pozbyć się z domu.

— I powiem panu, że moja Frania właśnie zdałaby się tak do jakiego znacznego domu, bo już to jej państwo zawsze w głowie, od czasu, jak bawiła przez rok w Nizyńcach u tej madame... jakże się ona nazywała? — dodał, zwrócony do Srula — co tu u niej uczyły się panienki...

Srul krząknął tylko i mrugnął na starego, bo jakżeż było powiedzieć, że madame była modniarką, u której Frania uczyła się czepki i suknie robić.

— Mniejsza o nazwisko! — rzekł stary, pomiarkowawszy się nieco.—Ale edukację moja Frania bardzo dobrze przyjęła; zobaczy pan sam dzisiaj, jak się

umie znaleźć w największym towarzystwie; niech się schowają panny Krajkowskie. To podobno kuzynki pańskie?

— A tak... dosyć nawet blizkie, po mamie.

— Po mamie! — powtórzyła Frania z głośnym śmiechem. Marysia za to spojrzała na młodzieńca zakłopotanego z wyrazem nieco czulszym, w którym przebijało się politowanie.

Znając ostry siostry charakter, żałowała go już biedaczka w niewinności serca. Śmiech starszej dziewczyny oburzył młodzieńca. Podniósł piękne czoło i dumne rzucił na nią spojrzenie.

— Od dziecka tak się przyzwyczaiłem nazywać matkę moją... — wyrzekł, odzyskawszy śmiałość. I kto wie, czyby się nie był w tej chwili odważył uciąć bez ceremonii, gdyby nie pan Gliniecki, ale ten przerwał mu nagle:

— Z pana Eugeniusza będzie bardzo dobry mąż, zupełnie jak z mojej Frani żona. Pan powinienes się jak najprędzej żenić..

— Nigdy bez miłości! — przemówił Eugeniusz z zapalem młodego poety, który nawet Glinieckich rodzinę uderzył swym urokiem.

Obie siostry popatrzyły na niego, a ich oczy, jedne śmielej, drugie wstydliwiej, zdawały się mówić wyraźnie:

— Jaki to śliczny chłopiec!

Srul rozповідаł nawet potem w Nizyńcach, że panna Frania aż ślinkę połknęła.

— Oczywiście! — mówił niezmordowany Gliniecki,

który, rzadko z ludźmi obcując, gdy mu się raz zdarzyła sposobność, stawał się zawziętym gadułą. — Ot, wie co pan Eugeniusz—dodał, porywając go za rękę—ja jestem człowiek szczery i, jak to mówią, okragły; co tu w bawelnę obwijać: żeń się pan.

I już tylko co nie wymówił „z Franią“, bo nasz zacny dorobkiewicz, przyzwyczajony do tego, że mu się zawsze udawały jego zamysły, ani wątpił, że będzie miał młodego hrabiego zięciem; i już nawet w duszy układał projekcik, jak to on, wlaższy raz w interesy wyżynieckie, tę piękną majątność oczyści i wytumani dla siebie. Na szczęście Srul, rozumiejąc lepiej nieprzyzwoitość takiego powiedzenia, porwał go za ogon frakowy tak mocno, że aż się obrócił, bojąc się o swój frak doskonale już przenoszony. Srul mrugnął na niego, jak mógł najwyraźniej i sam prędko zagadał:

— Już to, że jegomościu panienki extrafein, to sam rabin-by przyznał, auf maine munes. Ale i posażne! ach! — dodał z figlarnem mrugnięciem oka.

— Ta zapewne! człowiek tam coś zebrał... pracą, panie... pracą gorzką. Taj używa teraz, póki pan Bóg da życia.

— Trzeba przyznać jegomościowi, że jegomość cudów dokazał... do takiego przyjąć majątku! ach waj!

Sprytny Żydek wprowadził Glinieckiego na pole, o którym wiedział, że na niem najlepiej i najdłużej lubi harcować, a przytem żydowskim swym miarkując rozumem, że mowa o majątku najlepszą może być wędka dla młodego pana.

— Ta to, panie, co prawda, to nie grzech: człowiek

z niczego się dorobił. To nie wielka sztuka wziąć majątek po rodzicach, albo przynajmniej jaki mały fundusik. Ale ot tak, panie, z golemi rękoma pójść w świat, i tylko głową kręcić i wykręcić.

— Aj waj! co to za głów!

— Tam, jak slysze, ludzie teraz w mieście jakieś ciągle czytają romanse, co to dla nich piszą drudzy. Żeby to się znalazł taki, iżby opisał moją historję, toby było pożyteczne, i byłoby przecie co czytać. Wie pan, ot, jak mnie pan widzisz żywego, ja nie wiem, kto byli moi rodzice, dalipan nie wiem!

— Ależ, tатku! — przerwała mu Frania.

— Ot, głupia!... jej się zdaje, że to zrazi pana Eugeniusza. On ma przecie rozum, i już dzisiaj nie te to dawne czasy...

— Bynajmniej! — ozwał się Eugeniusz, któremu pot kroplisty występował na czoło.—Mnie się tylko zdaje, że możeby już czas był...

— Gdzie tam, panie. Znam ja rodzinę Krajkowskich. On już od wczoraj pijany; a tamci wszyscy w miasteczku, nim się wyczepierzą... my jeszcze pierwsi będziemy. Oj tak, panie, ja nic nie miałem, nawet rodziców; aż to tam w Glinicach proboszcz mówił raz o jakimś paniczu, co tam zajeżdżał do dworu, i o jakiejś garderobianej, która miała być bardzo ładna, ale nie było w tem nic pewnego, i takich rzeczy nie mówi się przy dzieciach. Ale Pan Bóg dał mi twardą głowę, a ludzie od wsi, w której mnie podobno pod kościołem znaleźli, nazwali Glinieckim. A co człowiek szturchańców nabral w tę głowę, gdym przy pańskiej wisiał kuchni! Bo to wszy-

scy się Piotrusiem wysługiwali. Ale Piotruś miał rozum, szturchańce znosił, wszystkim służył, ale tak jakoś to robił, że zawsze coś do kieszeni wpłynęło. Jedno tym, drugie tym sposobem, a zawsze wpadło coś do kabzy. Bo to w wielkim dworze, to nieraz wyrzucą na śmiecie, z czego niejeden jeszcze być może użytek. Wiele, wiele bardzo ciekawego mógłbym ja powiedzieć, jakie to dzieją się rzeczy na takim dworze. Piotruś wszystko widział, wszystko wiedział i zawsze coś skorzystał, a, panie, ziarnko do ziarnka będzie miarka. A jak się nauczyłem czytać i pisać, to dalipan sam nie wiem; trochę z potrzeby, trochę z przypadku; ot i tyle umiem przecie, że mnie nikt nie sprzeda, i umiem kontrakt dobrze przeczytać, i na kontrakcie czytelnie się podpisać, a z takim zygzakiem, że dyabła zje, kto mój podpis sfalszuje. I tak się jakoś wyrosło, panie. A co Piotruś umiał, tego i Piotr nie zapomniał. Sługiwało się, panie, i tu i tam, nawędrowało się po całej okolicy w pańskiej służbie i z własnym nieraz handelkiem. A był tam stary Żyd na aren-dzie. Ten zawsze chwalił mnie i przepowiadał, że ze mnie będzie człowiek. Zgadł psiawiara; wielki to był szachraj z tego Arona, od niego to się nauczyłem handlu. Długoby o tem gadać. Kiedyś ci to opowiem, panie Eugeniuszu, jak się więcej zbliżymy, czego się spodziewam. Ale jedno przecie warto posłuchać. Aż mnie śmiech bierze jeszcze, jak to sobie przypomnę, ale wtenczas nie było mi do śmiechu...

— Aj waj! to pewnie o tytoniu! ach! to bardzo zabawne!

— A tak, o tytoniu. Już mi się służba przelala przez uszy, osobliwie, że przy ekonomie mało miałem czasu na

własne interesy; bo to człowiek, jak pies, musiał stać na lanie, nie jadłszy i nie piwszy. Bo już ja to zawsze skapiłem sobie. To wszystko, czegom niepotrzebnie przez swój brzuch nie przepuścił, to wszystko teraz mam w szkatule, ha! ha! ha!

— Ha! ha! ha! — zawtórowali mu śmiechem Żyd i obie córki, do których miary było to opowiadanie.

Ale Eugeniusz nie wiedział, co się z nim dzieje; dla niego to opowiadanie było czemś tak dziwnem, tak niezrozumiałem, że miał prawie ochotę dotknąć samego siebie, aby się przekonać, czy nie sen to jaki okropny i potworny. Takie opowiadanie dla poety, marzącego o wyższościach idealnych, było prawdziwie zimnym lodem, mrozącym spoconego. Pan Gliniecki, potarłszy z najwyższem zadowoleniem swoją szczecinę, walil dalej:

— Porzuciłem tedy służbę i postanowiłem sam dla siebie żyć i pracować. Na co miałem pracować dla drugiego? Jakem się obrachował, wyszedłszy ze służby, miałem... zgadnijcie państwo wiele? Śmiech mię bierze, jak sobie przypomnę; miałem trzysta rubli srebrem, a same pisane, bo to, panie, działo się na Podolu naszym. Z niczego! z niczego!... Co tu z nimi robić?... Trzeba zaś wiedzieć, że ja się najwięcej kręciłem ponad granicą rosyjską i znałem od Arona, który miał swoje stosunki z przemytnikami, wszystkie przesmyki na suchej granicy, która nie była tak strzeżona, jak dzisiaj. Świeciłyby się te czasy, kiedy na kordonie stali kozacy. Dzisiaj z tymi żandarmami nieporadna godzina. I z naszej strony nie było jegrów jeszcze, tylko starzy, wysłużeni żołnierze. Dobre to i poczciwe ludziska, a nieruchawe!

Każdy prawie z nich miał reumatyzm w nogach, a w rękach... No! ale mniejsza o to. Dostałem się tedy za kordon, do znajomego ekonoma, i tam kupiłem wóz i dwa tegie, rosyjskie konie, któreby samego czarta z piekła wyciągnęły. Pierwsze to były moje konie, bo ja się nigdy w konie nie wdawałem. Strasznie jedzą! I kupiłem za wszystkie pieniądze tytoniu tureckiego. A umiałem ja kupić, umiałem i napakować. Na wierzchu w pakach żółty i śliczny, jak szafran; we środku podlejszy. Ogromna to była fura! aż strach! I z tą furą znajomym przesmykiem przejechałem granicę szczęśliwie. Już to, panie, strachu miałem nie mało, bo nigdy bardzo nie byłem odważny, ale czegooby to człowiek nie zrobił dla zysku, dla pieniędzy! Trzeba się było dostać do jednego miasteczka, gdzie już mogłem być bezpieczny, bo miałem tam znajomości i stosunki. Ale do miasteczka było tegich dwie mil podolskich. Jakie to myśli mi wtenczas po głowie biegały, i na wołowej skórceby nie zmieścił człowiek. Bo to i nadzieja, panie, i strach. To człowiek raz rachował, to znowu drżał o całe mienie swoje i o skórę. Ha! jadę i jadę, a powoli, bo ciężar był nie mały. A trzeba mi było koniecznie jechać popod jedną karcznię, gdzie, jak wiedziałem, kręciły się zawsze rewizory, te właśnie, co to od tabaki. Już minąłem karczmę. Panie! nigdy w życiu tak gorąco się nie modliłem. Jadę, aż tu wprost ku mnie idzie dwóch ludzi. Patrzą! aż mi oczy zaszły mgłą. To były rewizory; idą wprost ku mnie. Ukryć się niema gdzie, bo to, panie, na opolu, jakby na gołej dłoni. Przeżegnałem się ukradkiem i dalipan, choć było zimno, gorący pot oblał mnie całego. Powiadają ludzie, że pot zajęczy zimny. Oj, co

nieprawda, to nieprawda. A tu, panie, czuję sam, że tytuń pachnie! ale powiadam panu, tak mocno pachnie, że, żeby człowiek miał najmocniejszy katar, to go poczuć musi. A te rewizory, to, jak wiadomo, mają nosy takie wytrawne i przenikliwe, że kontrabandę o milę zwachają. Jadę wpół martwy. Dalipan, wszystkie gwiazdy widziałem, choć to było w dzień. Idą ku mnie, już są koło mnie i dają mi znak jakiś, abym stanął. Nie było rady, stanąłem; a musiałem być blady, jak śmierć. Żem ja wtenczas nie posiwał, to sam nie rozumiem. No, proszę pana, co to może strach; zdawało mi się, jak zbliżyli się do mnie, że krzyczą na mnie: „Ty masz tytuń!“—Nie mam — odpowiedziałem, a zęby mi, panie, same dzwoniły aż strach. — Jakto nie masz!—przemówił jeden—przecież kurzy ci się jeszcze fajka.—Aż dopiero wtenczas zobaczyłem, że mam w zębach fajeczkę, napełnioną grajcarowym tytoniem. Patrz pan! oni nie o tytuń pytali, oni poprostu chcieli ode mnie ognia. Dałem im ognia, dmuchając w nos śmierdzącym tytoniem, by dobrego nie zwachali. I poszli sobie szczęśliwie, podziękowawszy mi, a ja zajechałem z wozem nienaruszonym do miasteczka z moim towarem. Ale przysiągłem sobie wtenczas, że już nigdy kontrabandą trudnić się nie będę. Ba! przysiągłem w strachu, a taka przysięga nic nie znaczy. Ot, jakoś strach przeminał; dziesięćkroć zarobiłem i potem nieraz podobne udały mi się interesy, bo czegooby człowiek dla pieniędzy nie zrobił. Ale tego strachu, jaki miałem wtenczas, do śmierci nie zapomnę. Ot i tak! W lat kilka później poszedłem na posesyę. To, panie, trzeba wiedzieć, jak się obchodzić z posesyą. Są ludzie głupi, a tego nie rozumieją i gospodarują na ob-

cej ziemi i cudzym chłopkiem, jakgdyby tę ziemię i tego chłopka mieli potem zabrać z sobą. A to, panie, prosty rozum dyktuje, że na posesyi to trzeba z ziemi i z chłopca wycisnąć, taj kwita... Aj! aj!... wiele to człowiek mógłby drugich ludzi nauczyć!

Kto wie, jak długo byłaby trwała ta interesująca autobiografia pana Glinieckiego, gdyby mu nie przerwał turkot jakiegoś powozu. Była to jego własna dryndulka, która według dyspozycji zajęła przed dwór, aby rodzinę Glinieckich zawieźć do Niżyniec.

— A to głupi gamoń! — krzyknął pan Gliniecki, i co prędzej wybiegł na dziedziniec i odprawił nazad dryndulkę, która mu już była niepotrzebna, kiedy miał jechać z młodym hrabią, i to koczem jeszcze. A szkoda! bo i dryndulka i liche szkapy, do niej zaprzężone, byłyby miły widok sprawiły gościom pana Krajkowskiego. Gorszej i bardziej obdartej dryndulki, chudszych i parszyszych koników najbujniejsza wyobraźnia nie zdołałaby wymyślić.

Wróciwszy do izby, gospodarz oświadczył przecie gościowi swemu, że już czas. Biedny Eugeniusz musiał zabrać całą rodzinę do swego koczyka i wyjechał nareszcie. A za nimi jednokonką jechał Srul Feigele i ciągle kiwał głową.

— Żeby to można sprowadzić do kupy to małżeństwo, możeby człowiek faktorne jakie wydobył! — medytował pan Srul.

Prócz tej bardzo praktycznej myśli, miał on i inne; pierwsze między niemi miejsce zajmowała ciekawość dowiedzenia się, dlaczego ex-burmistrz Wiciewicz jeździł

wczoraj do pustej pasieki. Ciekawość gwoździem mu się wbiła w głowę.

Zanim karawana zajędzie na bal, przenieśmy się teraz do Niżyniec, gdzie się ma odbyć zabawa, zajmująca żywo wszystkie umysły małomiasteczkowe.



#### IV.

### Bal w miasteczku.

W Niżyńcach do dnia panował ruch wielki i to pomiędzy wszystkimi mieszkańcami różnego stanu i wyznania. I nic dziwnego, bo jeżeli jednych zajmowała nadzieja zabawy, drugich natomiast więcej jeszcze obchodził jarmark, jaki się miał odbyć nazajutrz. Starozakonni mianowicie krzatali się na wszystkie boki, wyczyszczając wszystkie zakamarki, przygotowane do przyjęcia gości jarmarkowych. Było to dla nich żniwo, z którego nikt tak, jak oni, korzystać nie umie. Po wszystkich najlichszych gospodach i domach zajezdnych gwar panował wielki, bo Żydkowie przygotowywali główny przysmak jarmarczny, występujący w postaci rozlicznych napitków, całą noc w piwnicy przez żydowskich szynkarzy preparowanych. W tym względzie starozakonni prawdziwych dokazują cudów, bo, z jednego prawie czerpiąc źródła, tworzą do woli rozmaite trunki.

— To będzie miód, to wiśniak, to wino, to arak! — powiadają, i jak mówią, tak się stanie.

A źródłem i podstawą tej cudownej fabrykacyi jest zawsze wódeczka. I bal państwa Krajkowskich nie mało

zajmował Żydków, handlujących rozmaitymi towarami. Jeden biegł do drugiego, by wyszpiegować, co który sprzedaje do dworu; po ulicach stawali, by łapać przechodzących, ażali im jeszcze czego do balu nie brakuje, lub wyglądać, czy nowy jaki posłaniec po nowe sprawy nie leci z gubernii. Gubernią nazywał się dwór, stojący za stawem na wzgórzu, na pamiątkę zapewne dawniejszych czasów, w których rządców nazywano gubernatorami.

A jeżeli się pojawił rzeczywiście posłaniec jaki z góry, Żydzi ledwie go nie zadusili, ledwie go nie rozerwali, ciągnąc do siebie, wychwalając doskonałość własnych towarów, ganiąc cudze i przeklinając współzawodników.

Jeżeli nadzieja i żądza zysku podniecała synów Izraela do niezwykłego ruchu, nie mniejsze zamieszanie panowało pomiędzy mieszkańcami Niżyniec, do lepszego towarzystwa należącymi, a zatem mającymi prawo do bywania u pana Krajkowskiego, rządcy i dzierżawcy miasteczka Niżyniec z przyległościami, którego dwór był dla małego miasteczka prawdziwym jakby dworem w stolicy. My w wielkim mieście nawet pojęcia mieć nie możemy o wrażeńiu, jakie taki bal na wszystkich wywiera; nie mamy wyobrażenia o namiętnościach, jakie się rozbudzają, tem gwałtowniej wybuchających, im więcej zwykle przytłumione samem życiem małomiejskiem, radzycząj jednostajnem.

— Być albo nie być na balu we dworze — to pierwsze pytanie, które wszystkie domki przebiega, wszystkie głowy zajmuje, sercom drżączkę sprawia, a siły umysłowe natęża, jakby do najwyższego celu życia, do

którego dopięcia niema konceptu, niema intrygi, jakiejby małomieszczanin nie próbował.

A gdy się już to pytanie korzystnie rozwiąże, gdy już z zaproszeniem piśmiennem w ręku wszyscy wszystkich odwiedzą, by się pochwalić, a co jeszcze przyjemniejsze, by politować się nad niezaproszonymi, następuje drugie, ważniejsze jeszcze pytanie:

— Jak być na balu we dworze?... to jest, jak się na niego ustroić.

Jest to właściwie kwestya, obchodząca bliżej same kobiety, ale w swych wynikach najogromniejszy wpływ wywiera na mężczyzn, którzy, jeżeli mają to szczęście, czy nieszczęście, być małżonkami lub kochankami, chwili spokoju mieć nie będą, ni w domu, ni w winiarni, ni u sąsiada na wieczornym wście, ni w kancelaryi w czasie urzędowych godzin, dopóki nie zadowolą swych żon lub bogdanek na punkcie stroju. A nie mała to sztuka zadowolić te, które same nigdy nie są zadowolone, bo nie wymyślniejszego, jak kaprys kobiecy w rzeczy stroju balowego. Łatwiej zaiste byłoby napęlić beczkę dziurawą s. p. Danaid. Jeżeli dziwne i nie dające się wyliczyć są kaprysy kobiece co do stroju w mieście, jakże daleko więcej niezgruntowanymi są one w małych miasteczkach! Nie mając ani wzorów gotowych, ani częstych przykładów, wyrastają prawdziwie w pomysły najpotworniejsze, które potem figurują na przedstawicielkach małomieszczkańskiej plci pięknej. Dodawszy do tego trudność dostania w małym miasteczku jakich takich strojów, łatwo pojąć, jaki rwetes panuje między paniami. A ile to trzeba geniuszu, żeby z niczego coś stworzyć, a co gorzej, stare na nowe przerobić.

Lecz to nie jeszcze: od tego są mężowie, wszak ich to jest obowiązek!... Ale daleko więcej wyekspensują one geniuszu, największych dyplomatów godnego, aby jedna odgadła naprzód strój drugiej, by w tem współzawodnictwie zostać zwyciężoną. Tu powstają myśli najbujniejsze, a rozbudzają się namiętności najognistsze. Nie-nawisć współzawodniczek, maską uśmiechu pokryta, dochodzi do najwyższego stopnia. Ile czarnych myśli powstaje w pięknych główkach, ile okropnych zbrodni popelnia się w myśli! Gdyby to wiedzieć, włosyby na głowie stanęły.

Dzień ostatni, dzień balu, to prawdziwie sąd ostateczny po domach. Już się bowiem stało, co stać się miało i odstać nie może. Już żadna wstążka barwy, żadna suknia fald, żaden czepek szlerek i fontaziów nie przemieni. Nieszczęśliwi domownicy, od mężów zaczęwszy. Lecz po małych miasteczkach mężowie mają ten głęboki rozum, że ranek przedbalowy przepędzają u jakiegoś Icka lub Abramka, wprowadzając w praktykę stare przysłowie o każdym frasunku, co się nie może obejść bez trunku.

W taki też dzień zajechawszy do Niżyniec, gdybyśmy mieli władzę dyabła kulawego, który pupilowi swemu wszystkie zdzierał dachy, dla jego nauki i doświadczenia, poznalibyśmy od razu i to gruntownie usposobienia i charakteru tych osób, które towarzystwo balowe tworzyć mają. To jest poznalibyśmy głównie kobiety. I to wystarcza! Kobiety wszędzie prawie nadają ton i główną w towarzystwach grają rolę. Kto poznał kobiety, zna już i całe towarzystwo, którego one bywają najczęściej usposobieniem. A cóż dopiero w Niżyńcach! Bo w Niżyńcach,

taki już był oddawna obyczaj, kobiety zupełnie rej wodziły. Modę tę zaprowadziła, jak mi powiadano, sama pani Krajkowska, która była prawdziwie „*hic mulier*“, i miała zupełną słusność, bo miała po temu, pominawszy rzetelną poczciwość serca, umysł sprężysty, gdy tymczasem sam Krajkowski najpoczciwszym był człowiekiem, choć go do rany przyłóż, ale właśnie dlatego z nadto serdecznym. Niema, panie, nic głupszego nad ludzi, a zwłaszcza mężczyzn, serdecznych...

Otóż panie niżynieckie były paniami w całym tego słowa znaczeniu. I tak to się już zamieniło w obyczaj, rzecz można prowincjonalny, że choć się pojawiali rozmaici skądinąd przybyli zuchowaci mężowie z połowicami, potulnemi gdyby trusie, ledwie parę tygodni minęło, mężom rosły wielkie uszy zajęcze, a trusiom ostrzyły się zębki aż miło. Zdania tedy kobiet niżynieckich były tem samem zdaniem mężczyzn niżynieckich, którzy tak byli w tej mierze sławni, że jakiś żartowniś stołeczny, poznawszy bliżej towarzystwo niżynieckie, wniósł przed burmistrzem i ławnikami, by za herb miasteczka przybrali „*wielki pantofel*“.

A gdy tedy mowa o zdaniach, mających główny kurs w Niżyńcach, by poznać to towarzystwo, z którym wkrótce balować mamy, powiem państwu dla uzupełnienia ogólnej charakterystyki, że już to najważniejszem zdaniem Niżyńczanek było nie mieć żadnego pewnego zdania, co stanowiło rozpacz biednych mężów, bo jużciż woleliby już, przyzwyczajawszy się do pewnych zdań, potakiwać tylko, niż nakształt wietrznej chorągiewki, chwiać się na wszystkie boki, za każdą zmianą małżeńskiejsz pogody.

Ale że się wszystko zmienia na świecie, stał się i w Niżyńcach cud. Zawitały doń pewne zdania, i to tem upartsze, że je kobiety popierać zaczęły. I nagle Niżyńczanki, kiwające się dotąd, jak figurki chińskie, na wszystkie strony, stanęły jak wryte, jakby w błocie, przy jednych pewnych oznaczonych zdaniach. A że, jak wiemy, każde zdanie, osobliwie kobiece, ma przeciwzdanie, czyli raczej zdania ludzkie podobne są do medali o dwóch stronach, więc też w Niżyńcach do tego doszło, że się całe towarzystwo rozdzieliło na dwie części, mniej więcej równe, z których każda obstawała przy swoim najzawzięciej.

Dwa te stronnictwa odróżniały się mocno barwami zdań swoich. Ten sam zartowniś stołeczny nadał im nazwy, dzieląc Niżyńczanki na lewitki i profanki. Aby zrozumieć przyczynę tej nazwy, trzeba wiedzieć, że Niżyńce z dawien dawna były miastem nadzwyczaj pobożnym, do czego przyczyniał się zakon reformatów, fundowany przez bogobojnych antenatów pana Wyżyńskiego. Wpływ zakonników był zatem bardzo wielki. Wszystkie mieszkanki i mieszkańcy Niżyńce stosowali się do nich, biorąc przykład w pobożności, w skromnych nawet dosyć strojach, bo ojcowie, bywający po wszystkich dworkach, umieli do serc i umysłów przemawiać.

Nagle rozeszła się nowa i niespodziewana wieść, na którą mężczyźni się krzywili, a kobiety, jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej w niemałej ilości, uśmiechnęły się. Huzarzy mieli przyjść do miasta, i rzeczywiście nadeszli. W spokojnem dotąd mieście powstał ruch ogromny, prawdziwa rewolucya w zdaniach i życiu. Odtąd to za-

częła się wielka w mieście scysya, i powstały dwa obozy, przewodniczone przez pleć piękną. Jedne damy pozostały wierne dawnym obyczajom, drugie, osobliwie młodsze, zaczęły się więcej zwracać ku światowym zabawom. Mężczyźni, choć niechętnie, pociągnąć musieli za śmiałemi nowatorkami. W niejednym dworku, dotąd spokojnym, odzywały się tony wesółych tańców i dźwięk ostróg i pałasza. Z niemałym żalem wielu mężów musiało przestać chodzić na taroczka i szklaneczkę miodu do klasztoru, a natomiast uczyć się preferansa i maczka od huzarów.

Ta różnica stronnictw przeszła pomału i do strojów, które z ciemnych, poważnych i skromnych coraz więcej stawały się pstrokatymi. Bal nawet u państwa Krajkowskich, jak to sobie mówiono na ucho, nie był bez pewnego wyższego celu. Pani Krajkowska chciała, sprowadziwszy do siebie oba stronnictwa, przywieść je do świętej zgody.

A była tego potrzeba, bo, jak wszystkie stronnictwa na świecie, lewitki i profanki walczyły najstraszliwszą bronią obmowy, jak zwykle obosieczną, a niebezpieczną, bo nie tak nie trafia do przekonania wszystkich sąsiadów i sąsiadek, jak plotka, choćby najnieprawdopodobniejsza. Osobliwie w miasteczku małym, które dla braku ważniejszych zajęć i zdarzeń bywa gniazdem plotek najrzesystszych. W małym miasteczku plotka jest nieśmiertelna, bo jak Feniks z własnych odradza się popiołów.

Dawszy ogólną charakterystykę towarzystwa niżyńckiego, nie mając kulawego dyabła na rozkazy, wejźmy po prostu przez drzwi do niektórych dworków, aby

poznać główne przedstawicielki tego towarzystwa, do którego mamy wprowadzić naszego bohatera, wielce przez nie pożądanego, bo sława jego piękności już go uprzedziła w Niżyńcach, a przytem małomieszczanom, choć to niby nosy krzywią z dumą plebejuszowską na panów, tytuł każdy ogromnie imponuje. Krzywią się oni i umizgają potrosze, jak ów lis w bajce do za wysoko wiszących winogron.

Zacznijmy od dworku, który wpół góry, do gubernii wiodącej, stoi samotny prawie, z ogrodem i okalającymi go sztachetami, na żółto pomalowanymi. Jest to własność i mieszkanie pana justycyaryusza i mandataryusza razem, Jana Antoniego dwojga imion Szumskiego. Dworku bliżej opisywać nie będziemy, bo kto raz był w miasteczku i widział pierwszy lepszy dworek, zna już wszystkie. Był to sobie domek o czterech oknach z frontu, czysto pobielany, z gankiem drewnianym i dziedzińczykiem nieregularnego kształtu, w którego głębi była obórka, stajenka i gumienko, słomą pokryte, a między stajnią i obórka, trochę naprzód wysunięty, najpokaźniejszy budynek gospodarski, czy drewniany, gontem pokryty. Był to chlewek, w którym dopasało się zawsze parę sporych świńek, w filozoficznym spokoju pogrążonych. Sam pan Szumski był wielkim wielbicielem tych pożytecznych zwierząt, które zawsze hodował i do których, gdy się chciał rozerwać, wychodził czasem z uśmiechem serdecznego dla nich współczucia. Jeżeli mamy prawdę wyznać, nie go one zwykle nie kosztowały, bo i wieprzaki jakoś darmo przychodziły i karmienie spadało jeżeli nie z nieba, to przynajmniej od Opatrzności, czuwającej nad mandataryuszami.

Pan Szumski miał reputację tegiej głowy, i za prawdę w sprawach, do jego urzędu należących, radził się i dobrze, radził tej głowy, pomijając serce, które nie wiem czy u wszystkich, ale u niego było w gardle i żołądku. Z powierzchowności była to sobie niewielka figurka, okropnie czupurna, z wąsem jeszcze czarnym i sterczącym, dzięki częstemu szwarcowaniu. Nos i głowę miał do góry zadarte, a małe piwne oczy umiały przybrać niepospolitą powagę, gdy mówił do podwładnych. Do płci pięknej miał słabość niejaka, i wówczas oczy przybierały wyraz pociesznej zalotności. Rodzina jego składała się z żony i dwóch dorosłych już córeczek. Pani Szumska, ni brzydka, ni ładna, z twarzą wiecznie zasępioną, była zawsze główną przedstawicielką, a nawet, rzeczy można, naczelniczką lewitek. Córeczki, jedna Basia, a druga Teklusia, obie szczere, hoże i dorodne, wpróżadziły miasteczkową seysyę do domu rodzicielskiego; bo gdy Basia żadnego nie opuściła nabożeństwa, Tekluśką nieraz rozmaite wynajdywała sobie sprawunki, by na rynku miejskim popatrzeć na defilujących huzarów, między którymi kadecik jeden wydawał się jej ósmym cudem świata. Nadaremnie karcila ją matka, karcil ojciec kaznodzieja, bywający w domu, Teklusia twierdziła zawsze, że gdyby ją Bóg stworzył chłopcem, byłaby pewnie poszła do huzarów. Środkowym punktem, na którym godziły się obie mandataryuszówny, był pan aktuaryusz Szpiegowski, którego już poznaliśmy nieco i o którym nic więcej niema do powiedzenia, prócz tego chyba, że nosił niesłychane kołnierzyki, które mu uszy krajały, i niesłychane miał zarozumienie o swojej piękności, zdolnościach i dowcipie. Przystojny był nibyto, zdolności miał

tyle właśnie, ile jej u nas miewali zawsze aktuaryusze za świętych i błogosławionych czasów mandataryuszowskich, a dowcipu tyle, aby mógł przy zdarzonej sposobność wyłudzić jaką łapówkę za plecami pryncypała, zagrać u pani aptekarzowej w cztery kąty i piec piąty, i zjeść wszędzie i zawsze, co i gdzie mu dali, choćby dziesięć razy na dzień. Owóż uważał on za obowiązek swój aktuaryuszowski mizdrzyć się do obu córek pryncypała. Panny obie, wzięwszy zapewne po ojcu pociąg do zalotności, uśmiechały się do niego, przy stole rzucały na niego gąłkami z chleba, i znajdowały go bardzo miłym i przyzwoitym, osobliwie gdy im opowiadał o stolicy, w której, gdy kończył infimę, miał mieć wielkie powodzenie w znakomitych towarzystwach.

Lecz dosyć już i zanadto tych opisów. Wchodzimy tedy do dworku pana Szumskiego.

W pokoju środkowym, a był to jadalny i przypierał do kuchni, siedzi sama pani Szumska, jeszcze posępniejsza, niż zwykle, bo rozmawia z ojcem kaznodzieją i rozpowiada mu treny nieskończone o zepsuciu obyczajów, o huzarach, o złych przykładach i o aptekarzowej, którą zawsze przy tej sposobności wspominała. Aptekarzowa bowiem, którą później poznamy, była uznana dowodczynią profanek.

— Oj ta aptekarzowa!... niech Bóg broni! — powtarzały po raz dziesiąty.

Ojciec kaznodzieja przestał już opowiadać na ten temat dobrze sobie znany, i w tej chwili nawet nie mógł, bo był zajęty śniadaniem, które mu zastawiła gościnną gospodyni. A zresztą nieraz już, ale zawsze nadaremnie, wzywał ją do zgody chrześcijańskiej.

— Ja z nią? Nigdy, nigdy! — odpowiadała z rzymską stałością. — Chyba w grobie!... A i tam nie, bo ona pójdzie prosto do piekła.

Biedny ojciec kaznodzieja, człowiek rozsądny i lubiący spokój, już tylko krząknął na to, bo wiedział z doświadczenia, że polemika z panią Szumską to prawdziwe kazanie na puszczy.

Na drugiej stronie Basia i Teklusia siedziały przy oknie i coś bardzo żwawo szyły. Kończyły jakiś przybór do stroju balowego. Po drugiej stronie okna na ogródek wychodzącego, stał pan aktuaryusz w przesadnej i malowniczej, jak mu się zdawało, pozyturze, z oczyma na wierzch wysadzonemi zwycięsko, jak był tego pewien, celem utrzymania ich w zupełnej równowadze. Jedną ręką poprawiał śpiczaste kolturyki, które do nosa mu prawie zaglądały, a w drugiej ręce trzymał gitarę.

Trzeba bowiem wiedzieć, że pan Jozafat — takie miał imię — posiadał i talent brzdąkania najfalszywiej na hiszpańskiej gitarze. Umiał także śpiewać i miał nawet na rozkazy dwie piosnki, jedną polską, drugą niemiecką, obie na jedną nutę, bo polska:

„Już się zbliża ta chwila rozstania!...“ była tlómazieniem niemieckiej:

„Sie naht, sie naht, die fürchterliche Stunde!...“

Właśnie zabierał się do powtarzania wypadającej z kolei niemieckiej, gdy Teklusia, podniósłszy się trochę z krzesła, uderzyła go po dłoni, ustrojonej w olbrzymi sygnet krwawnikowy z wrytym jakimś apokaliptycznym dziwolągami, który miał być herbem Szpiegowskich.

— Panno Teklo! pani mnie bijesz! — wyrzekł sentymentalnie i sentymentalnie westchnął.

— Bo mnie pan nudzisz.

— O! jabym chciał być tak nudzonym przez panią! — mówił z przesadą i dodał, poprawiając się: — przez panie.

— Lepiej powiedz mi pan, którzy oficerowie będą na balu we dworze.

— Tekło! — ozwała się Basia surowo — a po chwili słodziej dodała, zwrócona do aktuaryusza: — Albo przynajmniej zaśpiewaj pan co nabożnego.

— Moje nabożeństwo tu! — odrzekł i tryumfalnie pociągnął za lewy róg kołnierzyka.

Panienki zarumieniły się i obie spojrzwały z pod oka, czyli nie zdołają dostrzedz, ku której w tej chwili zwrócone było spojrzenie pana aktuaryusza. Lecz pan Jozafat miał rozum. Oczywiście wybaluszył tak prosto, że nawet na żadną nie spojrzał, wzrok swój puściwszy pomiędzy obydwie.

I nastąpiło milczenie... wymowne próżnią dalszego konceptu we wszystkich trzech głowach.

— Co też to panie pięknego robią? — zapytał narazie.

— Haftujemy chusteczki do nosa. — odpowiedziała panna Tekla.

— Bo to dzisiaj w modzie — dodała Basia.

— A wiem, wiem! to moda stołeczna! Jak byłem w stolicy... — przemówił z fantazją wielkiego znawcy mody i bywalca, a kołnierzyk podciągnął do niemożliwej już wysokości. On w tej chwili był sam przekonany, że z swoimi kołnierzykami jest typowym elegantem. Lecz nie dokończył, bo mu Tekla przerwała.

— No, i powiedz-że mi pan, czy też pański goździk piękny? — rzekła, śmiejąc się.

— Aha! goździk! — dodała Basia.

— Jaki goździk?

— Przecież pan wiesz, o kogo się pytamy.

— O to należałoby kogo innego zapytać.

— A kogo? — zapytały szybko i głośno obie siostry.

Ciekawość to zaleta małomieszczkańska, i dlatego plotka jest tam największym dowcipem.

— Hrabia Eugeniusz bardzo często jeździ spacerem do pasieki Wiciewicza.

— Młody hrabia? — zawołały rozciekawione. — To być nie może... Do ekonomówny!... Opowiedz-że nam pan, jak to było.

— To nic jeszcze, ale stary Wiciewicz czegoś jeździ do swojej pasieki.

— Ale fe! ten stary grzyb — rzekła Basia.

— To to będziemy dziś sekować młodego hrabiego — powiedziała Teklusia.

I zaśmiała się i wszyscy troje śmieli się, jakby z najlepszego konceptu.

W czasie tej rozmowy, która ciągnęła się dalej, przerywana czasem tylko brzdąkaniem na gitarze, ojciec panny Basi i Teklusi, którego mimochodem odwiedziły, siedział w swojej kancelaryi przy stole, napełnionym papierami, systematycznie ułożonymi. Nie pracował zupełnie, ale za to ciągle przypatrywał się sobie samemu, bo naprzeciwko wisało lustro, powiernik jego samolubnych i zalotnych myśli. Szanowny Szumski miał się za pięknego, i medytował właśnie, jak się będzie umi-

zgał na balu do pani aptekarzowej, która od dawna mu wpadła w oko i do serca, niezwykle łatwo zapalającego się.

Przy tej samej sposobności rozważał on z całą powagą bardzo ważne pytanie, czy wziąć na bal czarny frak, czy niebieską czamarkę? Pytanie było nie lada jakie, bo frak dodaje mu powagi, a czamarka wdzięków. Była to walka justycyaryusza z człowiekiem.

Medytację przerwało lekkie pukanie do drzwi. I wszedł znajomy już nam żebrak, którego poznaliśmy w rozmowie z Eugeniuszem. Na twarzy żebraka przebijała się zuchwała przebiegłość i udana pokora.

— Niech będzie pochwalony! — wyrzekł, kłaniając się nisko.

Pan Szumski, widząc wchodzącego, przybrał co prędzej jedną ze swoich min najbardziej urzędowych i porwał pióro do ręki, udając mocno zajętego.

— Czegoż znowu chcesz, ty stary łotrze? — przemówił do niego, a z pod oka spojrział na ręce jego i na wiszące sakwy. Ręce były próżne, ale sakwy wydawały się napchane. Na ręce skrzywił się pan sędzia, do worków uśmiechnął się.

— Czegoż stoisz! widzisz przecie, że jestem zatrudniony.

— Pan sędzia dobrodziej zawsze tak bardzo pracuje — mówił żebrak śpiewającym, jak zawsze, głosem i rękę wsadził do torby.

— Mów-że prędzej! — ozwał się sędzia, wciąż zachmurzony.

— Ja, proszę jegomości, przychodzę od Wasyla...

I zbliżył się żebrak do stolika, a z torby ozwał się głos jakiś. I pomału wysunęły się z niej dwie głowy kacze.

— Cóż to znowu u dyabła!... z kaczkami jakimiś przychodzisz...

— I z jajami, proszę jegomości. Jutro jarmark. My, biedaki, chcielibyśmy zarobić nieco pieniędzy.

— Ja nie pozwalam żebrać!... wiesz o tem!.. idź precz!

Zebrak nic nie odpowiedział, tylko z drugiej strony torby zaczął dobywać jaja.

— Wasyl prosi jegomości, by kilku z nas mogło zająć niektóre miejsca; ja będę przy kościele, Hryćko z krzywą ręką na placu koło Icka, a...

— Nie wolno!

— Tu jest kopa jaj, a same świeże!.. i prosił Wasyl, żeby policyant nie puszczał innych żebraków, tylko naszych, a będą mieli znaczek od Wasyla.

— Raz powiedziałem, że nie wolno... Ja was oduczę tej żebraniny. Ty i twój Wasyl pójdziecie do kozy.

— Jest i oselka świeżego masła. Takie śliczne i żółte!

— Do kroćset dyabłów, dosyć już tego!... Ja nawet z tobą gadać nie chcę, bo jeszczeby kto myślał, że ty śmiesz przynosić mi jakiego kubana.

— I jeden bundz, prosto z gór.

— Zaczynasz mnie niecierpliwić... Jeszcze kto dostrzedz gotów. Idźże mi zaraz precz, pókiś cały...

— A gdzie proszę jegomości łaskawego? — zapytał żebrak z uśmiechem naiwnie przebiegłym.

— Ta do kuchni, głupcze! tam musi być żona moja. Idź mi precz stąd; to przecie kancelarya — odpowiedział pan sędzia z miną jeszcze surowszą.



Żebrak ukłonił się jeszcze niżej, przybrał postawę ni-  
by zastraszoną i, zagarnawszy jaja, które już był wy-  
jął, wyszedł z kancelaryi. Pan sędzia spojrział za nim  
z pod oka raz jeszcze i wzrokiem znawcy kaczce objął  
głowy. Żebrak zostawił u samej sędziny przyniesione i ka-  
czki, i jaja, i masło, i bundza, i wymknął się z sędziow-  
skiej zagrody. Pan sędzia tymczasem zadowolone rzucił  
w zwierciadło spojrzenie. Rad był z siebie, że tak po  
rzymsku prawdziwie wypełnił swój urząd. Mówiliśmy,  
że pan Szumski nie dla kształtu nosił głowę na karku,  
i był ze wszech miar na wysokości swej posady urzędo-  
wej. Należał on do najzdolniejszych w okolicy mandata-  
ryuszów. W kilka chwil później pojawił się policyant  
kulawy, co mu nie przeszkadzało do wypełniania waż-  
nych swych w miasteczku funkcji, do których nóg wca-  
le nie potrzebował, mając przecie ręce i gardło czysto  
policyjne. Zobaczył on zdaleka żebraka i, jako człowiek  
mocno doświadczony, wszedł zaraz do pryncypała swe-  
go, by wysłuchać jego rozporządzeń.

— Co my też będziemy dalej robili z tymi żebra-  
kami?—przemówił, przyszedłszy aż do samego stolika.

— Głupiś!

Policyant ukłonił się z dziękczynną i wielce pojętną  
miną.

— Ale bo to jacyś nowi żebracy aż ze Stanisławowa  
przywędrowali na jarmark.

— Głupiś! do kozy z nimi...

— Ze wszystkimi żebrakami?

— Głupiś!—powtórzył pan sędzia po raz trzeci.

Policyant zrozumiał doskonale pryncypała swego  
mruknawszy:

— Wiem już! wiem! — wyszedł co prędzej, aby



— Tu jest kopa jaj, a same świeże!

dogonić żebraka, w którego torbie znalazła się jeszcze spora flaszka wódki. Nałajał, nakrzyczał, naszturczał nawet żebraka, ale butelczynę schował do kieszeni.

Idźmy teraz dalej w miasteczko. Poniżej zagrody pana sędziego natrafiamy na inne jakieś obejście, z którego nie widać, tylko kawałek komina. Całe bowiem jest oparkanione ogromnie wysokim częstokołem. Podobne jest trochę do fortecy. I rzeczywiście zakrawa na wrota do fortecy ogromna brama, zawsze zamknięta na kłódkę. Jest to pomieszkowanie pana Wiciewicza. Kto tamtędy przechodzi, mógłby się tam zupełnej domyślić pustki, gdyż taka za częstokołem panuje cisza, jakby tam wszystko wymarło.

Wieczorem tylko i w nocy odzywają się mnogie głosy, to cieńsze, to grubsze, to chrapliwe, to śpiewające — głosy brytanów. Świat małomieszczański rozповідаł starą już zresztą facecyę, że w rzeczywistości żadnego za częstokołem niema brytana, i że sam Wiciewicz poszczekuje od czasu do czasu, by ciekawych złodziei przekonać o nadzwyczajnej czujności urojonych psów. A umiejętność tę do takiej doprowadził doskonałości, że mógłby dawać koncerty, gdyby się znaleźli amatorzy szczekania.

Mimo czujnych psów, zamkniętej bramy i wysokiego częstokołu, korzystając z powieściopisarskiego przywileju, wejdźmy na chwilę do pana prezesa. Domek dosyć stary, nie tyle przez wiek, ile przez brak ciągłej staranności, z wiecznemi zamkniętymi nie tylko drzwiami, ale i oknami, które po większej części deskami są zabite, wyglądałby na wyraźne pustkowie, gdyby nie... głośny kaszel, który odzywa się z wnętrza domu, suchy, chrapliwy, rozchodzący się echem po pustych dwor-  
ka izbach. Jest to kaszel Marty, jedyne domownika,

jakiego Wicewicz cierpi u siebie. Jest to daleka jakaś kuzynka, gospodyni i sługa razem, egzemplarz szkieletowy prawie, milczący i głuchy.

Głuchota u niej była dla Wicewicza największą zaletą, i jej ona zawdzięczała to niezwykle dobrodziejstwo, stokroć jej wymawiane przez Wicewicza, że od 1-go stycznia aż do ostatniego grudnia mogła mrzeć głodem. Moznaby ją nazwać prawdziwą męczenniczką, gdyby nie odwet, na jaki, mszcząc się, pozwalała sobie. Jeżeli stary zrzędził na nią, co jej zresztą łatwo było znosić, gdyż była głucha, ona mu się odwdzięczała twarzą wiecznie zmarszczoną, tonem mowy piskliwie mrukliwym i słowami, jakimi do swego pana i krewnego przemawiała. Nigdy ona pocziwie do niego nie przemówiła, ale lżyła go, ilekroć się odezwała, wyrazami, którym przynajmniej na szczerości nie zbywało. W tym względzie miała słownik wyczerpujący wszystkie nazwy skapcom dawane. Wicewicz w takim razie udawał głuchego i coraz mniejsze wykrawywał dla niej kromki chleba. Bo, prócz chleba, soli, wody i od czasu do czasu kilku kartofelków, żadna inna nie pokazywała się strawa we dworku starego kutwy, jak go powszechnie w miasteczku nazywano. Było tam jeszcze jedno stworzenie żyjące, którego los nie był godny zazdrości. Był to stary kot czarny, okropnej chudości, ulubieniec wielki samej Marty, która o niego srogie nieraz z Wicewiczem odbywała walki. Wicewicz uważał go za niepotrzebną zupełnie gębę, bo nawet myszy i szczury wyemigrowały ze skapiego domu.

Marta, która sama przyzwyczaiła się z czasem do skapstwa, dla ulubieńca była szczodra, o ile być nią mogła. Chociaż, czy przez skapstwo, czy przez prawość wro-

dzoną, własności Wicewicza pilnowała, jakby własnej, dla tego jedyne go ulubieńca swego pozwalała sobie okradać pryncypała swego. Z powodu kawalka sera zapleśniałego, który skapiec długo chował, przyszło raz między kuzynami do walnej rozprawy. Wicewicz, przekonawszy się, że go kot spożył, chciał go zadusić.

Marta stanęła w jego obronie z oczyma tak srodze zaiskrzonymi, że aż się Wicewicz przestraszył, tem więcej, że zasłyszal wymruczane przez Martę słowa o tajemnicach pieniężnych, o które bał się więcej, niż o życie. Najslabszą jego stroną była obawa złodziei. Bojaźń była w nim manią i karą razem, nie dała mu ona jednej spokojnej przespać nocy, a choć zasnął kiedy snem niespokojnym, najokropniejsze trapiły go mary, przedstawiając mu w najpotworniejszych postaciach czyhające na jego pieniądze ręce złodziejskie.

Znamy już powierzchowność Wicewicza. Otóż w tej samej umbrelli i okularach widzimy go siedzącego w ciemnej sypialni, do której światło wpadało tylko przez jedną kwaterkę okna, wolno w górze zostawioną. Siedział na drewnianym zydelku, koło starego kufra, na który spoglądał wzrokiem rozpaczliwej pożądlivosti. Kilka razy wyciągał rękę ku niemu, jakby go chciał otworzyć, i znowu cofał. Najwyższą dlań było rozkoszą liczyć i przeliczać nagromadzone w nim pieniądze; to była jedyna jego rozrywka, zastępująca mu jadło, napój i wszystkie życia wygody. Ale bał się zanadto często pozwalać sobie tej przyjemności, by go kto nie wyśledził, to też, choć nikt temu nie wierzył, on zawsze przed wszystkimi utyskiwał i płakał na goliznę i dla tej to właśnie przyczyny głuchota Marty była dla niego najważniejszą zaletą. Nieraz w nocy, gdy zajrzał do kufra i chudymi palcami prze-

rzucal nazbierane tam rozmaite monety, miłosnem pie-  
szcząc je okiem, to jedno go uspokajało, że Marta nie  
może słyszeć dźwięku monet złotych i srebrnych.

Przemogła nareszcie żądza. Pomału i ostrożnie otwo-  
rzył kufer, podniósł wieko i schylił się nad niem. W tej  
chwili coś mu zaświeciło w oczy i tuż nad uchem ozwał  
się głos jakiś ponury, złowrogi. Zadrzał skąpiec ze  
strachu, krew się w nim ścięła, włosy stanęły na głowie.  
Podniósł przerażone oczy. Z wierzchu wieka podniesione-  
go patrzyło nań dwoje oczu iskrzących i ten sam ozwał  
się głos jękliwy. To kot Marty siedział na wieku i cieka-  
wym zdawał się patrzeć na skąpca wzrokiem, miauczac  
z cicha.

Tego już było zanadto dla starca. Onby w takiej  
chwili zabił człowieka, a cóż dopiero kota. Wyciągnął  
suche palce, ale kot skoczył nagle, schował się pod łóżko  
i gniewnym pomrukiwał głosem. Zaprzestał dalszej  
gonitwy, bo się bał, by miauczenie kota nie sprowadziło  
Marty, ale w duszy zaprzysiął sobie śmiertelną zemstę.

Wrócił z powrotem do kufra otwartego. Nadto wiel-  
ka była pokusa. Stało w nim mnóstwo worków różnej  
wielkości, a między nimi największy skórzany, ku któ-  
remu mimowolnie prawie wyciągnęły się pokurezone, jak  
szpony, palce. I drżącą ręką podniósł ogromny a tak cięż-  
ki worek, że zdawało się niepodobieństwem prawie, by  
go starca ręce utrzymać mogły. Ale czemu silna nie po-  
dola żądza!

— Zajrzeć, czy nie zajrzeć?...—To były dwie myśli  
walczące ze sobą w głowie starca.—Choćby jedną chwilkę  
popatrzeć na złoto!—mówiła żądza syrenim głosem.—  
W dzień niebezpiecznie! — przestrzegała tchórzliwa  
skąpca bojaźliwość.

I dla takich to chwil zaprzedał nędzny starzec całe  
swoje życie...

— Nie! nie! — mruknął sam do siebie. I oczy jego  
zaszły łzawą mgłą żalu za widokiem złota.—Już dłużej  
nie mogę walczyć z tą obawą! — mruczał dalej do sie-  
bie. — Tamte worki mogą zostać... ale ten trzeba zakopać  
koniecznie...

Tu przycisnął worek do piersi, jakby mu żal było  
rozstawać się z nim.

— Lecz gdzie?... wiem miejsce doskonale!... lecz kie-  
dy i jak?... już mi się raz nie udało... Dziś w nocy mo-  
żnaby najlepiej... Wszyscy będą na górze u Krajkow-  
skich... Ale szkoda balu!... szkoda!...

Takie myśli tłoczyły się tłumnie do głowy skąpca.  
Szło mu o skarb, a zatem więcej, niż o życie, a przecież  
z drugiej strony żal mu było balu. Bo na nim był pewien,  
że się naje i napije... darmo i na długo się naje i napije.

— Możeby jutro, w czasie jarmarku! ale w dzień  
znowu kto przeszkodzić może, a w nocy straszno! stra-  
szno!... Jeszcze opowiadają takie jakieś okropności o tem  
miejscu... To bajki gminu głupiego!... Dziś, dziś potrze-  
ba koniecznie...

— Dajcie biednemu! dajcie choć kawałek suchego  
chleba... już trzy dni nie jadłem! — ozwał się tuż pod  
oknem zawodzący i fistułowio śpiewający głos jakiś. To  
głos nam znajomy, głos żebraka z pod figury.

Stary skąpiec, usłyszawszy ten głos tak blizki, tak  
niespodziewany, zatrząsł się okropnie, jakby w febrze.  
Worek wypadł mu z ręki i ozwał się z kufra dźwięk  
metaliczny potrąconego złota. Dźwięk ten, tak mu za-  
wsze miły, jeszcze go więcej przeraził, bo przecież mógł  
go zdradzić.

Zamknął kufer co prędzej, skoczył na środek pokoju i zaczął wołać:

— Marto! Marto! — zapomniawszy, że daremne było jego wołanie, bo i armatnie strzały nie rozbudziłyby zmarłego u niej sluchu.

Lecz już w tej chwili usłyszał za oknem kaszlanie Marty. Ujrawszy żebraka, wybiegła z miotłą i nuż go lżyć:

— Lotry! darmozjady! włóczęgi! a won stąd!... Nie tu nie dostaniesz!... czy nie wiesz, że stary kutwa nie da nikomu ani grosza?

— Pannunciu! pannunciu! złota hołubko! — zawodził lajany płaczliwie.—Ja już czwartą dobę nie jadłem.

— Idź precz! zaraz!... ale któreś ty tu się zakradłeś?—zagadnęła nagle Marta.—Wszystko szczerlnie pozamykane.

Stary w izbie milczał i dech w sobie zapierał, ale słuchał z największą uwagą, bo to wejście żebraka do jego dobrze zaopatrzonej zagrody dawało mu wiele do myślenia.

— Patrzcie go! — zapiszczał na dworze głos Marty— wylamał pal jeden z częstokołu.

Pot zimny oblał starego skapca. Tchórzliwa jego wyobraźnia przedstawiała już mu całą zgraję złodziei i rozbojników, której szpiegiem był żebrak.

— I częstokół wylamany! — przemówił sam do siebie, załamując ręce—nowy wydatek!

Gdy się już uciszyło na dziedzińcu, wybiegł stary skapiec z młodzieńczą skwapliwością, aby się przypatrzyć zrobionej szkodzie.

— Zakopię! zakopię!... dziś jeszcze! — mówił sam

do siebie — ale po kolacyi aż wyruszę... I kota zabiję!... dopiero będę miał trochę spokoju.

Na dziedzińcu zeszli się kuzynkowie.

— Przekłęta baba kota trzyma, a nie pilnuje obejścia! —mruczał stary.

— Brzydki kutwa!... sknera!... dusigrosz! Zbiera pieniądze, zamiast żyć porządnie, i lotrów zwabia przez to do siebie... Jeszcze kiedy zarzną mnie w nocy i mego Filunia...

A żebrak, biegnąc z góry do miasteczka, mruczał sobie pod nosem:

— Jeszcze nie zakopał, słyszałem brzęczenie pieniędzy, słyszałem wyraźnie!... Będę ja miał oko na ciebie!...

Wiciewicz długo nie mógł przyjść do siebie, aż narzeczcie zabrał się do ubierania, aby, broń Boże, balowego nie stracić obiadu.

Taki to był pan Wiciewicz Karl, jak go nazywano, zapewne na pamiątkę czasów jego urzędowania.

Nie wiele już możemy dodać do jego charakterystyki. Skapstwo i chciwość były jedynymi prawie i głównymi rysami jego charakteru. Skąpym i chciwym był od małego już dziecka. Chłopcem będąc, żałował już sobie wszystkiego, a jeżeli gdzie grosz jaki złapał, to go chował i dusił, lub starał się przez rozmaite facyendy podwoić i potroić. Lichwa stała się trzecim żywiołem jego bytu. Zawód swój zaczął od sławnego procesu. Będąc raz na praktyce w jakimś urzędzie, potrzebował poświadczenia, że ma się z czego utrzymywać. Udzielając przytem nauk synowi pewnego obywatela, potrafił go nakłonić do tego, że mu ten dał takie poświadczenie na pewny dochód roczny, mające być naturalnie pozorem tylko.

Odbył praktykę i dochrapał się małego urzędziku. Tymczasem ów obywatel umarł, zostawiwszy syna jedy- naka. Wiciewicz wpada na myśl, godną jego przewrotnej głowy, i wytacza synowi zmarłego proces o niewypłacony dochód roczny, dokumentem mu zabezpieczony. Mając rozmaite stosunki i sposoby forsowania, nie tylko że wygrał proces, ale przysądzono mu za wszystkie lata zaległe procenty od sumy. Syna swego dobrodzieja zrujnował, ale za to przyszedł od razu do znacznego kapitału; puścił się na najniełitościwszą lichwę, pożyczając na ogromne procenty i najczęściej na zastawy. Żadnego w tej mierze nie mając skrupułu, zdolny był ostatnią kroplę krwi wyssać z dłużnika, który był jego prawdziwym niewolnikiem. Do zajmowania się takim procesem pomagał mu urzędzik, z początku niższy, a potem wyższy, choć prowizoryczny. Bano się go, nikt go nie śmiał oskarżyć, a ile innych korzyści ciągnął ze swego położenia społecznego, to mogą powiedzieć ci, co mieli z nim jakiś interes, lub spotkali kiedy w życiu podobnego Wiciewicza na podobnym stanowisku, w małym miasteczku. Z początku skupował grunty i rozmaite realności, ale później, im mu więcej przybywało grosza, skąpstwo jego stawało się wyraźniej manią, tak, że przywiązanie do pieniędzy potraçało niemal o szaleństwo. Nie bez żalu, ale przestał nakoniec pożyczać już choćby na największą lichwę; składał tylko grosz do grosza i pieścił się jego widokiem. Chyba tylko czasem jeszcze na bardzo drogi zastaw pożyczył, ale biada dłużnikowi, jeżeli termin o minutę przeciągnął: już pewnie nie widział się z zastawionym przedmiotem.

I rzecz dziwna, a raczej szkaradna! Człowiek taki wart przecie najwyższej pogardy, jeżeli go inna ominie kara; wart, by się od niego wszyscy odwrócili na wieki i nie-

przebytą granicą wzgardy na zawsze odgradzili. Gdzie tam! Zupełnie przeciwnie się działo. Wszyscy się pchali do niego, starali o jego łaskę, wszyscy mu pochlebiali i otaczali pewnym, choć pozornym zapewne, ale nie mniej przeto gorąco okazywanym szacunkiem. Był to zapewne szacunek nie dla człowieka, ale dla jego złota, którego on był niejako numerycznym przedstawicielem.

Smutne to zawsze przecie takie społeczeństwo, w którym dosyć jest być workiem napchanym dukatami, by stać się przedmiotem poszanowania, względów i najumięźniejszych ukłonów. Złoty cielec, jak się pokazuje, pozostał bożyszczem wielkiej części ludzi, tańczących i rozmaite przed nim odbywających podrygi pokorne.

I nie dosyć na tem, że Wiciewicz takie miał znaczenie wśród płci brzydkiej, złożonej, jak to mówią z większości praktycznej, szukającej zawsze rozumu praktycznego w matematyce; ale i płci pięknej, zdolniejszej od mężczyzn do uczuć delikatniejszych i szlachetniejszych, mimo srogiej brzydoty fizycznej i moralnej, miał jeszcze względy. Kobiety starały się schlebiać jego miłości własnej, przekonawszy się, że pan ex-burmistrz dosyć miał pociągu do umizgów. Dowody tego później może zobaczymy. Jak na teraz, porzućmy starego sknerę i szkicujmy inne jeszcze obrazki z towarzystwa niżynieckiego.

Każde miasteczko, choćby najmniejsze, ma swoje miejsce uprzywilejowane, czy to plac jaki, czy ulicę, stanowiącą arystokratyczną jego część, coś w rodzaju faubourg Saint-Germain. Do takiej części miasteczka pchają się koniecznie honoratiores, tam się w dzień i wieczorem główne odbywają przechadzki, tam zbierają się wybitni mieszkańcy, czy w domu prywatnym, czy w wi-

niarni, czy w kawiarni, lub innem jakim locum. Takim miejscem w Niżyńcach była ulica, z rynku prowadząca do gubernii, to jest do mieszkania pana komisarza i dzierżawcy. Rynek był dla motłochu chłopskiego, dla jarmarcznej gawiedzi, dla żydowskiego pospólstwa.

Kwiat arystokracji niżynieckiej tam mieszkał, lub przynajmniej przechadzał się po tej ulicy. Ulica ta w Niżyńcach o tyle w porównaniu z innymi w podobnych miasteczkach zasługiwała na miano arystokratycznej, że przy niej był najmniej arystokratyczny, a najszlachetniejszy przecie przybytek Bogu poświęcony — kościół i klasztor po jednej stronie, a po drugiej kilka dworców, w których mieszkała śmietanka towarzystwa niżynieckiego.

Głównym, niemal najgłówniejszym punktem była apteka, do której wchodziło się przez ganek historyczny, i w której, prócz lekarstw w samym sklepie i pana aptekarza w nim panującego, na drugiej stronie mieszkała sama pani aptekarzowa, o której już kilkakrotnie wspomnieliśmy, a mówiąc o Niżyńcach, wspominać ciągle musimy. Ganek nazwaliśmy historycznym, bo, będąc dosyć obszernym, stawał się w lecie punktem nader dogodnym dla przechodzących tamtędy.

Czy miał kto interes czy nie do apteki lub do aptekarskiej, wstąpił na ganek, i zawsze się jakoś jeden tam z drugim zetknął; a więc łatwo pojąć, jak tam były obrabiane wszystkie historie niżynieckie, najciekawsze i najtajemniejsze, jak tam, jakby w parowym młynie, męła się bez ustanku ulubiona płoteczka na najdrobniejszą mąkę marymoncką, z której wypiekał się chleb powszedni, konieczny do pożywienia małomiejskiej ciekawości, mającej wielce głodny i strawny żołądek.

Apteka, złożona z kilku pomieszczeń, razem polepio-

nych, miała sama w sobie kilku lokatorów, a nawet i stryżek był na niej, gustem samej aptekarskiej przerobiony na rodzaj piąterka z wielkim oknem i dachkiem, przypominającym trochę żydowskie synagogi. Po obu stronach aptekarskiego dworku, w tył nieco usunięte, były cztery jeszcze dworki, niekoniecznie symetrycznie i grzecznie do siebie zwrócone, ale tem ci dogodniejsze dla sąsiadek, które przez to najłatwiej mogły wiedzieć, co która w swej kuchni gotuje, kiedy i jak zabiera się do prania lub innego zajęcia gospodarskiego.

W tych dworcach były naprzód dwie kwatery oficerskie. Po prawicy mieszkał rotmistrz, a po lewicy porucznik. W drugich dwu dworcach mieszkał miejski chirurg właściwie, ale przez grzeczność nazywany lekarzem, mieszkał sam pan burmistrz i tak zwany rewizor, cichy i spokojny człowiek, który nikomu wody nie zamącił, ale miał za to rewizorową, zdolną całemu miasteczku zawrócić głowę potęgą swych zawieszistych i silnych wdzięków. W samym domu aptekarstwa, jako w punkcie najcentralniejszym, mieszkała owa modniarka, u której, jak wiemy, rezolutna Frania pobierała owo wyższe wychowanie, uzdolniające ją do zostania młodą hrabiną. Łatwo pojąć, że w dniu dzisiejszym, dniu tak ważnym dla całego miasteczka, tylny pokój aptekarskiego dworku, mieszczący w sobie modniarkę i jej wszystkie manatki, był punktem ogólnej pielgrzymki dam niżynieckich, których wszystkie niemal najpowabniejsze nadzieje spoczywały tam pokrajane na kawalki fontaziów, szlerek i jakichś okrawków wstążek.

Lecz najważniejszą w tem wszystkim była sama pani aptekarzowa, o której już wiemy, że była naczelniczka profanek. Pomówmy o niej. Ale kiedy to, mówiąc o niej, trzeba właściwie mówić o paniach aptekarskich. Bo

było ich dwie—tak jest, dwie aptekarzowe w Niżyńcach. Nie myślcie, łaskawi czytelnicy, że tam były apteki dwie. Broń Boże! tam była jedna i, jak się to trafia po małych partykularzach, bardzo nie tęga. Ale aptekarzowych, z dodatkiem samychże aptekarzów, było aż dwie, i obie młode jeszcze, obie przystojne, obie przeświadczone o tem, a zatem żadne należnych im hołdów. I może jeszcze mieszkają pod jednym dachem? Na szczęście nie!... bo współzawodnictwu obu, w odpowiedniem oddaleniu objawiające się pociesznymi tylko wybrykami, mogłoby sprowadzić tragiczną jaką katastrofę, zakończoną stratą, broń Boże, ciemnego lub niebieskiego oka.

To statystyczne bogactwo Niżyniec takim się tam wzięło sposobem. Pan Krajkowski, jak to już podobno słyszeliśmy, miał rodzinę bardzo liczną. Między starszemi dziećmi posiadał on córkę Piotrunię, którą wydał za pana Fiulkiewicza, poczciwego z kośmi chłopca, ale golego, roztrzepanego, prawdziwie do niczego, prócz chyba, by być ojcem dzieci bardzo dobrym, do których aż trojga podobno bardzo prędko przyszedł i które namiętnie kochał. Nie wiedząc, coby się dało zrobić z Fiulkiewicza, zrobił z niego aptekarza, kupiwszy dla niego aptekę w miasteczku. Z początku, póki były stare zapasy apteczne, szło jakoś, ale, gdy tych zabrakło, Fiulkiewicz, nie lubiący mozołu i prowadzący zawsze dom otwarty, zaczął w szczeroci serca to dawać, co miał; a że miał najwięcej rumianku, więc rumiankiem, zamiast innych lekarstw, na recepcie zapisywanych, zaczął traktować, przez co, wyznać trzeba, śmiertelność ani się zwiększyła, ani zmniejszyła. Długi rosły na aptece, co widząc, Krajkowski odebrał ją zięciowi i, sprzedawszy innemu, córkę i zięcia wziął do siebie. Fiulkiewiczowie przestali mieć aptekę, ale nie przestali zwać się aptekarstwem.

Tym tedy sposobem pojawił się w Niżyńcach drugi aptekarz, pan Szymon Beczyński, którego żona, Klimunia, jest ową prawdziwą aptekarżową, naprzeciwko klasztoru mieszkającą. Panowie aptekarze żyli ze sobą w największej zgodzie, a nawet przyjaźni, zgadzali się bowiem w dwóch gustach swoich, to jest na punkcie wódeczki i polowania. Obaj lubili pociągnąć przy śniadaniu i obaj zawzięcie polowali. Jak w jednym, tak i w drugim nie mieli sobie czego zazdrościć, bo jeżeli obaj jednakowo tego pili, obaj też równie źle strzelali, i najczęściej z polowań, wspólnie odbywanych, wracali z próżnemi torbami i manierkami wysuszonemi. Jeżeli się czasem pokłócili, to chyba przy jakim kłamstwie myśliwskim, do którego nie tyle mieli konceptu, ile ochoty.

Nie tak z samemi paniami. I one się lubiły niby, lecz, ściskając się zawsze czule i bardzo serdecznie, wciąż się obmawiały. Ale jakże się tu nie obmawiać, kiedy Piotrunia była biała, zbudowana, jak łania, i miała jasne włosy i niebieskie oczy, a Klimunia, zupełnie przeciwnie, była brunetką o czarnych włosach, ciemnych oczach i śniadej płci. Ale zawsze obiedwie były najprzystojniejsze w całym miasteczku, a przecież, jakkolwiek niewielkie to było miasteczko, gusta mężczyzn były podzielone.

Jakkolwiek bądź, takie współzawodnictwo jest zawsze nudne, stąd więc pochodziły nieskończone plotki, które na drodze z apteki do zamku biegały bez końca, noszone zawsze tam i z powrotem przez usługnych przyjaciół i równie czule przyjaciółki. Nie mało się do tego przykładała nierówność ich położenia społecznego. Klimunia była majątniejsza i po mężu mieszczanka, gdy tymczasem Piotrunia była obywatelską córką po ojcu i matce, a nawet i Fiulkiewicz miał tam jakiś herb i jakiegoś wujaszka, posiadającego wioszczyne jakąś. Natural-



nie Klimunia drwiła niby z szlachectwa i wszystkich jego przywilejów, ale tylko półgębkiem, bo była to dla niej rana niezagojona. I musiała się patrzeć nieraz, jak na zabawie dawano tamtej prym; a co się działo w jej sercu, gdy Piotrunia dla dodania sobie większego tonu przyjeżdżała do niej powozem z lokajem, który miał guziki herbowe. Mściła się na mężu w takim razie srogimi wymówkami, ale to nic nie pomagało. Dandysi małowiejscy, najgrzeczniejsi i najczulsi na dole w aptece dla pięknej Klimuni, opuszczali ją na gorze, by się przypodobać Piotruni.

Wejdzmy teraz na chwilę do apteki; jest to godzina jedenasta z rana, hora canonica, jak ją nazywał pan Szumski, który ze swojego obowiązku coś tam rozumiał po łacinie. Odkąd Niżyńce Niżyńcami, taki to już był zwyczaj, z dawna zaprowadzony, że około jedenastej znajomi schodzili się do apteki na jakąś mieszaną wódkę, lekarstwem woniejącą, ale pełną dobrych żołądkowych własności. A przytem tam udzielano sobie nawzajem nowinek politycznych i brukowych. Od brukowych był doktor Februar, a co do politycznych, pan pocztmistrz Pilnauer musiał je najlepiej wiedzieć na poczie.

Nie potrzebujemy powiadać, że dziś właśnie był zupełny komplet, bo każdy chciał się dowiedzieć o dzisiejszym balu, o którym rozprowadano, a jeszcze się większych nowin spodziewano. Krzyk i gwar ogromny był w aptece, bo wszyscy byli weseli i kieliszek kilkakroć się już powtórzył.

— Załóżmy się o nową kolejkę wódki! — krzyczał pan doktor Februar. Był on pochodzenia starozakonnego; ale, że dowcipny i lubiący każdemu schlebiać, więc powszechnie był lubiony. Zawsze miał coś wesołego do powiedzenia, a jak nic nie miał, to skłamał.

— Załóżcie się! — krzyczeli obaj aptekarze, lubiący powtarzanie kolejek kieliszkowych.

— Ja się nie założę — odpowiedział poważnie nagabywany pocztmistrz — ale wiem z pewnością, że będzie.

— Nie będzie! ja panom powiadam. A kiedy pan pocztmistrz wie pewnie, dlaczego się nie chce założyć?

— Ja się nigdy nie zakładam.

— A pfe! — przemówili aptekarze, a i drudzy przytomni zawtórowali.

— Pfe! — powtórzył, śmiejąc się, pan Februar.

— Czy pfe, czy nie pfe, ja się nie będę zakładał, nie głupim!

Nic nie pomógł śmiech i namawianie wszystkich, pocztmistrz uparł się. A szło tu wszystkim o podwójną wygraną, bo i o wódkę i o to, by skąpego pocztmistrza do zapłacenia namówić. Do tego cała kłótnia była wymierzona przez doktora, który z pocztmistrem w wiecznej żył wojnie. Jakoż nie przeciwniejszego widzieć nie można było, jak ich całe usposobienie i całe ułożenie. Doktor był niewielkiego wzrostu, ale nadzwyczaj ruchliwy, zawsze wesół, zawsze do śmiechu gotowy, na żart łapczywy. Pan Pilnauer przeciwnie, wysoki, chudy, sztywny i zawsze wyprężony, bawił się w ogromnego sensata. Rzadko kiedy się śmiał i wszystko na świecie widział w czarnym kolorze. To też jednego przewali Beksą, drugiego Wesołowskim.

— Niema zakładu — przemówił gospodarz — ale napijmy się wódki.

— Dlaczego wy się sprzeczcacie, moi panowie? — przemówił pan rewizor, młody i wcale przystojny mężczyzna — najlepiej powinien przecie wiedzieć pan Fiulkiewicz, czy stary hrabia będzie na balu, czy nie.

— Ja właściwie nie mieszam się w to... i ostatecznie ja wolę, by był zakład.

— Bravo!... i dlatego napijmy się.

— Będzie! ale tylko młody hrabia! — mówił znowu lekarz — gdzieżby stary chciał między nas wleźć?

— Głupia fuma! — ozwał się kolektant, trochę krzywy, trochę kulawy, z okularami na czole, brodawką na nosie, zawzięty nieprzyjaciel panów i szlachty, jako syn dyaka.

— Mniejsza o to! — rzekł pan sędzia, który właśnie nadszedł.—Zabawimy się i bez niego.

— Lepiej, żeby i młody nie przyjeżdżał — ozwał się młodziutki praktykant w magistracie, który także chorował na demokratę i eleganta. W obu tych postaciach niechętnie chciał się spotkać z paniczem, przy którym mogły zniknąć wszystkie jego zalety.

— Kapitalny i nie głupi chłopak! — zawołał doktor. —I nic nie podobny do ojca—dodał z uśmiechem.

— Jakto? — zawołało kilku, którzy się czegoś domyślali pod tym uśmiechem. Olbrzymia domyślność jest zwykłą zaletą małomieszczan, którzy, w tem podobni do wielkich filozofów, domyślają się niestworzonych rzeczy, a stworzonych we własnym nie widzą domu.

— Może do matki? — odezwało się kilku innych ciekawych, którzyby chcieli pytaniami, jak trybuszonym, dobyć prawdy.

— I do matki nie! — odrzekł pan Februar z takim samym uśmiechem.

— Jakto? — wołali wszyscy, otaczając doktora.

Lecz w tej chwili ozwały się głosy stojących przy oknie, między którymi był brat samej aptekarzowej i dwóch czy trzech praktykantów cyrkularnych, których przywieziono z miasta na tancerzów.

— Otóż oni!

— Oni! kto tacy? — krzyknęli drudzy i pobiegli do okna.

Z naprzeciówka bramy klasztornej posuwali się poważnym krokiem burmistrz i pan Krajkowski we własnej osobie z dwoma synami: Adamem i Saturninem. Była chwila strachu, czy nie pomina apteki, lecz nagle zwrócili się do niej i weszli ku niemałej radości obecnych, którzy, jak wiemy, nie wiedzieli dotąd głównego powodu dzisiejszej zabawy, a przytem radziby wiedzieć szczegółowo, kto na niej z obcych będzie. Przywitano tedy nowo przybyłych z ogromnym krzykiem.

Burmistrz była to w małym miasteczku najmniejsza, najsuchsza i najniewinniejsza istota. Rzadko też o nim mówiono w potocznej mowie, ale tem częściej o samej pani burmistrzowej, która nie tylko w domu, ale i w całych Niżyńcach burmistrzowała. Biada każdemu, który nie przeszedł pierwej przez kuchnię i spiżarnię pani burmistrzowej.

Krajkowski był za to najotyłszym w Niżyńcach człowiekiem i niezawodnie najlepszym. To też, kto w Boga wierzył, korzystał z jego poczciwości. Nikomu nigdy nie odmówił. I serce i kieszeń, stół i spiżarnię, gumno i las, miał na usługi znajomych swoich z miasteczka, którzy też go obdzierali, jak groch przy drodze rosnący; w oczy pod niebiosa wynosili, a poza oczy szeptali do siebie, ruszając ramionami:

— Bankrut! bankrut oczywisty.

On tymczasem, nie zważając na to, lubił żyć, nie wystawnie, ale dostatnio i gościnnie. To też mało który dzień był tak szczęśliwy, by stół we dworze obszedł się bez kilku obcych gości. Cała jego twarz malowała człowieka; zawsze uśmiechnięty, mrugał rubasznie oczyma

i mówił nieco akcentem Mazurów, bo stamtąd był rodem.

Synowie byli to także dobre chłopaki. Wychowani w szkole ojca, stali się pierwszymi próżniakami w mieście, gotowymi do każdej hulanki, do każdej gry, w karty czy w butelki, czy nawet w serca, bo byli obaj dorodni, podobni do siebie, a rysami twarzy, postawą i ruchami przypominali prawdziwych mazurskich parobczaków.

Ciekawe zgromadzenie, po pierwszych przywitaniach i po powtórzeniu nieuniknionej kolejkii, zwróciło się do nowo przybyłych, mianowicie do Krajkowskiego, z pytaniami, któreby mogły zapędzić w kąć najdowcipniejszą indagację.

— Co? jak? i dlaczego? — występowało w coraz nowszych postaciach.

Lecz tym razem indagacja się nie powiodła. Krajkowski, który miał serce na dłoni, a myśl na języku, tym razem był zakopertowany, jakby list z pieniędzmi, które są, jak wiemy, największą tajemnicą na świecie.

Zbывał wszystkie odpowiedzi rubasznym śmiechem i tylko w końcu, poszedłszy za ladę do aptekarza, przemówił coś do niego po cichu. Musiało to być coś bardzo ciekawego, bo, jak to wszyscy zauważyli, ogromne uszy pana aptekarza aż zadrżały i pobladł mu nawet nos, zwykle burakowy. Skończywszy, przyłożył pan Krajkowski palec do ust i, obróciwszy się do gości, wyrzekł z właściwą sobie uprzejmością:

— Wszakże i tak się dowiecie. A może też dlatego prędzej do mnie przyjdziecie. Im prędzej, tem lepiej; przed obiadem możemy się spotkać z kielbasą, a i stoliki do wista będą gotowe.

I wyszedł z synami i burmistrzem, który pod nad-

zwyczaj uroczystą miną starał się ukryć strach, jaki go ogarniał na myśl, że trzeba się będzie tłómaczyć przed burmistrzową z czasu, przy śniadaniu straconego.

Po ich odejściu wszyscy obcesem się rzucili na aptekarza, lecz nadaremnie. Beczyński, nie chcąc zdradzić pana komisarza, którego bardzo potrzebował, milczał uporczywie, rzucił tylko spojrzenie, pełne wymownych wymówek na kolegę aptekarza, który przecież dawniej wiedzieć musiał o tajemnicy i nic mu nie powiedział.

Rozeszli się tedy wszyscy, biegnąc co prędzej do domu, aby się ubrać i pędzić na górę, skąd nęciła ich i kielbasa, i wisteczek, i tajemnica, i znana nareszcie całym Nizyńcom starka.

Przejdźmy teraz na chwilę na drugą stronę, gdzie mieszkała aptekarzowa. Jej mieszkanie urządzone było z całym komfortem małomieszczańskim. Prócz gitary, tej konieczności małych miasteczek, był i gatunek fortepianu, była i serwantka z filiżankami i wielkim na samym wierzchu samowarem; była nawet na kanapie wielka poduszka haftowana, na której czekoladowy ułan w zielonem bujał przestworzu; a przed kanapą na okrągłym stoliku brązowy dzwonek, którego wielkość i głos czyniły go podobnym jeźeli nie do sygnaturki, to przynajmniej do ruskiego kolokolczyka. Moglibyśmy coś jeszcze powiedzieć o włoskowych owocach i wełnianych kwiatach na gzymisie kominkowym, ale nie chcemy nudzić czytelników naszych.

Towarzystwo pań nizynieckich w wielkiem było komplecie, wszystkie prawie zgromadzone były profanki, bo była i pani kasyerowa, i pani kontrolerowa, i pani profesorowa, i kilka asesorowych, i nawet pani rewizorowa, o której mówiono, że potrzebuje trzech najmniej godzin na wystrojenie się i trzech najmniej łokci wstążki na

przepaske. Wszystkie, mimo pory spóźnionej, były jeszcze w negliżu. Gwar i pisk panował wielki, o czym gadały, trudno powiedzieć, bo same się nie rozumiały. Widać tylko było ważność tej sesji po przyśpieszonych ruchach, z jakimi wszystkie biegały po dosyć sporej izbie, na salon przerobionej. To do okna przystępowały, jakby coś spostrzedz spodziewały się, albo znowu przykładaly ucho i oczy do drzwi, czy kto nie przychodzi przez korytarz, który obie strony domu dzielił i przez który szło się do tylnych mieszkań na dziedzińcu. Na wszystkich twarzach malowało się podziwienie i pomieszanie niejakie.

— Niema jej! niema! — woła po raz dziesiąty i jedyna i druga.

— I nie była ani ona, ani nikt z góry! — dodała gospodyni, tupając małymi nóżkami, czyli raczej korytkami, którymi starała się podwyższyć nieco.

— Możesz nie uważała, moja droga — przemówiła piękna rewizorowa głosem trąby.

— Ja nie uważałam?... — odrzekła Klimunia, stając na środku. — Alboż to ja która z tych pań, co to nie umieją dojść, gdzie ich mężowie chodzą?

— Mniejsza o nich — ozwały się niektóre z lekceważeniem.

Tylko kasyerowa i kontrolerowa spojrzaly z pod oka i sumiasto na siebie, bo trzeba wiedzieć, że obie miały swoich mężów i siebie nawzajem w posadzeniu, i, jak twierdzono dosyć głośno w Niżyńcach, obie miały słuszną. Dla koniecznej zgody w kasie panowie kasyer i kontroler patrzyli przez szpary, czyli raczej całkiem nie patrzyli na siebie, choć się nieraz do zamku na jednej spotykali ścieżce.

— Ale czyż to może być?...

— Ja sama pojąć nie mogę.

— Przecież w starych ukniach nie będą.

— Znamy je wszystkie doskonale.

— W domu nie robią...

— Żadna igłą ruszyć nie umie.

— Może w dawnych wystąpią...

— Ach!... gdyby!... — zawołały wszystkie z wyrazem trudnym do odtworzenia i podniósłszy oczy w powałę, jakgdyby błagalnie chciały wznieść modły.

I każdaby pewnie upadła na kolanka i gorącą antyfonkę zmówiła, gdyby to mogło być prawdą, że panie ze dworu nie ubiorą się w jakieś nowe, nikomu dotąd nieznanne stroje.

O to też szło właśnie, że nikt w tej mierze nie wiedział.

— Czy tylko cię twoja modniarka nie oszukuje, może ona robi coś potajemnie?

— Kto?... panna Lubina Wilusówna!... a choćby i chciała, przecież mieszka na moim dziedzińcu, i od dwóch tygodni ja wiem o każdej i każdym, który wszedł do niej, co przyniósł, a co wyniósł.

Nie wiem dlaczego, na te słowa uśmiechnęły się zgromadzone profanki.

Od czasu do czasu biegały to jedna, to druga, nie dowierzając własnym oczom, to na korytarz, to na dziedzińiec, to nawet do samej modniarki. A każda miała dobry pretekst, bo się tam kończył nie jeden jeszcze stroik, mający być wystawionym wieczorem na powszechną admirację.

— Poczekaj! ja teraz pójdę! — mówiła gospodyni i, zatrzymując drugie, sama najczęściej wybiegała na te wywiady. Przy każdej sposobności przyjaciółki spoglądały na siebie z pod oka. A nawet, gdy poszła, odzywały się chichoty, chusteczkami tłumione.

dlaczego? tego nie wiem; to wiem tylko, że, ile razy przebiegła przez korytarz, zawsze zatrzymywała się przy schodkach, prowadzących do onego belwederu, na strychu wystawionego. Zapewne, jako dobra gospodyni, chciała się przekonać, czy schody zamiecione i czy wszystko w porządku. Bo jużci warto dbać o takiego czyszczownika, jakiego miała w osobie pana respicyenta.

Był to niedawno przybyły, młody i wcale przystojny mężczyzna, pełen talentów, bo nawet czule bardzo dmuchał w czakan. Przytem wieść niosła, że jest bardzo dobrze urodzony, choć się nazywał Hektor Bums, i że miał mieć jakieś znaczne pieniądze w kasie oszczędności złożone przez jakiegoś tajemniczego opiekuna. Płacił dobrze i był tak grzeczny dla gospodyni, tak bardzo grzeczny, że szanowna naczelniczka profanek chętnie byłaby utworzyła nową, jakąś sektę piwną, czy gorzałczaną, by mieć więcej do czynienia z panem respicyentem. Lecz i słońce ma plamy. Mimo całej grzeczności, mimo słów nieraz do niej wymówionych, pełnych głębokiego uczucia, mimo nawet jednej fantazyi, którą raz ze swej górnej altanki wydmuchał z akcentem tak wymownym, tenże sam pan Bums bywał grzeczny dla Piotruni, i miał dla niej i słówka i spojrzenia i czule podmuchy czakanowe.

Raz nawet, gdy, stanąwszy przy schodach, przypadkiem zapewne głośniejszym korkiem swym stuknęła, pojawiła się na górze głowa z faworytami w aksamitnej czapce z chwastem i z poza drzwi wymknęła się ręka i pobiegła ku głowie, a potem od ust ku przebiegającej gospodyni wysłała pokłon, któremu towarzyszyło spojrzenie ogniste ciemnego oka. Aż zadrżało czule serce Klimuni i zaczęła się nawet litować nad Piotrunią.

Biedna Klimuniu! coby się z tobą stało, gdyby ci

kto teraz szepnął tę samą tajemnicę, którą właśnie w tej chwili Krajkowski szepnął twojemu mężowi.

Owóż gdy znowu, po długiej i hałaśliwej zgromadzonej pań rozmowie, wyszła aptekarzowa na zwiady, z pewną dumą spojrzała ku schodom. Spojrzała i gdyby nie szczotka do zamiętania, w kącie stojąca, o którą się oparła, byłaby upadła niezawodnie. Ależ bo rzecz okropna! niesłychana!...

Na drugim czy nawet trzecim już schodzie stała Piotrunia we własnej osobie i pan Bums w tej samej czapce z chwastem. I patrzyli na siebie tak jakoś poufale i tak bez najmniejszej żenady, że biedna Klimunia nie mogła powstrzymać okrzyku, w którym się mieścił i cały jej żal i całe oburzenie.

Na to odwróciła się Piotrunia i, nie tracąc fantazyi bynajmniej, zawołała wesoło i z uśmiechem:

— A! to ty, Klimuniu!

— To pani! — odpowiedziała Klimunia, przymuszając żywe swe oczy do jakiegoś suchedniowego spojrzenia.

— Do ciebie właśnie idę...

— Z góry?...

— A jużci z góry! od nas, ze dworu! — odrzekła, śmiejąc się pustym śmiechem.

Klimunia miała prawdziwie ochotę, od dawna nie-doświadczaną, przeżegnać się.

— No, do widzenia!... — mówiła dalej Piotrunia, zwrócona do respicyenta, który także nie miał zupełnie miny pomieszanej. — Tylko prędzej!... prędzej!... bardzo proszę.

I dokończyła mowy takim samym pozdrowieniem, jakie Klimunię przed kwadranssem spotkało z wysokości belwederowej. Coby dała Klimunia, za to, gdyby to można było wydrapać oczy!...

— A teraz biegnę do ciebie co prędzej, moja dobra Klimuniu, bo chciałam ci coś pokazać.

I teraz dopiero spostrzegła Klimunia jakieś lekkie w rękach trzymane zawiniątko, z chusteczki białej zrobione.

Nowy przestрах!... bo doświadczone oko pani Bezyńskiej odgadło jakiś strój. Nie było wszakże czasu na dociekanie, bo Piotrunia, porwawszy Klimunię za rękę, wpadła z nią, jak bomba, między zdziwione panie, które tego pojąć nie mogły, że w czasie gwarliwej ich narady ta, na którą czatowały, weszła niepostrzeżona do domu.

— Dobrze, że tu was zastaje, które jesteście znawczyniami—dodała, zwrócona do dam, lekkim je witając kiwnięciem.

Wszystkie ją otoczyły. Klimunia szła, jak na stracenie, bo jej serce, świeżą zdradą dotknięte, przeczuwało coś okropnego.

— Patrzcie! — mówiła Piotrunia i lekko a zgrabnie z chusteczki wydobyla czepek nowy, paradny, strojny.

— Ach! wyleciało ze wszystkich ust. W tem ach! było zarówno tyleż bólu, co i podziwu.

Bo to był czepek, ale jaki czepek! Ja, co tyle rzeczy umiem opisywać, nie zdołam go opisać; ale możecie mi państwo wierzyć na słowo, że to był czepek nad czepkami, taki to tam był dobór i wstążek i tiulów i koronek... A krój!... a gust!...

Musiało to być cudowne wszystko razem, bo twarze pań patrzących wyglądały jakby po zażyciu niesmacznego lekarstwa.

— To ze Lwowa!

— Ze Lwowa! — mruknęły wszystkie przerażone,



-- Ze Lwowa! — jęknęły w około grobowym głosem.

przypominając sobie swoje dzisiejsze stroje, przerabiane ze starych według wzorów, które już dawno całą przebiegły okolicę.

— Tatko kochany sprowadził i dla mnie i dla sióstr wszystkie stroje nowiuieńkie ze Lwowa.

— Ze Lwowa! — jęknęły wokół grobowym głosem.

— Od Błotnickiej.

— Od Błotnickiej! — powtórzyły.

Cud to był wielki, że żadna nie zemdlala. Pokazały tym razem Niżyńczanki potężną siłę charakteru. Ale co się działo w ich sercach, to chyba opisać ci mężowie tych pań, którzy mieli szczęście wpaść pierwsi pod oczy swoich połowic.

— Tatko niczego nie żałował na dzisiejszą uroczystość.

— Uroczystość? — krzyknęły wszystkie. To słowo zgalwanizowało wpół umarłe.

— A prawda, że wy nie wiecie, moje kochane panie — przemówiła Piotrunia. — Śpieszcie się! śpieszcie się! do widzenia! — I, roześmiawszy się głośno, zwinęła cudny czepeczek i znikła, jak senna mara.

— Poczwarą! — mówiły wszystkie oczy, patrzące na nią.

Snać niema w Niżyńcach uroczych oczu, bo Piotrunia byłaby padła trupem.

Mileząc zniosły Niżyńczanki cios tak srogi i, nie do siebie nie przemówiwszy, bojąc się każda dotkliwego jeszcze w takiej chwili pożalowania, pobiegły do domów, by się prędzej wystroić i udać na tę uroczystość, godną sukien i czepków z samego Lwowa, od samej pani Błotnickiej.

FRANCUSKIE TOWARZYSTWO UBEZPIECZEŃ NA ŻYCIE



**L'URBAINE**

FILIA dla Królestwa Polskiego

w Warszawie, Marszałkowska 136.

Agenci w wszystkich miastach Królestwa.

**„MODERNE”** Wyborne MYDŁO  
TOW. AKC. **F. PULS.** w WARSZAWIE  
DOSTAĆ MOŻNA WE WSZYSTKICH LEPSZYCH PERFUMERJACH.